

„PRAWDZIWA CNOTA KRYTYK SIĘ NIE BOI”  
(I. Krasicki)

# Szpilki

Nr 22 (2975)  
Rok XLVI

31.V.1981 r.  
Cena 7 zł

W PUNKCIE 8 DODAJ:  
"... I ŻEBY WIŚNIEWSKI  
NIE WRZUCAŁ  
CHRABĄSZCZY ZA KOŁNIERZ!"



JULIAN BOHDANOWICZ

## SERBO-UGRO-POLONICA

Szanowna Redakcjo!  
Jestem w miarę regularnym czytelnikiem Waszego poczytnego pisma. W numerze 17 poświeconym jugosłowiańskiemu „Jeżowi” – znalazł się artykuł Marka Antoniego Wasilewskiego „Serbo-Croatico-Polonica” o różnych zabawnych historyjkach językowych, który przeczytałem z zainteresowaniem, jako że z natury (również zawodowej) interesuję się takimi ciekawostkami językowymi. Pragnąłbym od siebie dorzucić parę uwag na ten temat.

A więc: 1) Serbsko-chorwacki wyraz „pravo” (w znaczeniu kierunku) nie oznacza naszego „prawo, na prawo”, gdyż pravo to

po serbsku... prosto. Nasze „na prawo” to w Jugosławii „na desno”! Wszyscy Polacy w Jugosławii z reguły się na tym łapią, gdyż każdy niemal rodak, zwłaszcza posiadacz czterech kółek, zapytawszy tu bylica, jak ma dokąś jechać, u usłyszawszy: „Vozite pravo!”, przeważnie skręca w pierwszą przeciwnie na prawo, zamiast jechać prosto.

2) Jeżeli zdarzy ci się, rodaku, wskoczyć w biegu do autobusu i usłyszysz od pasażerów wymówkę: „Polako!”, „Polako”, to nie znaczą, że owi pasażerowie poznali, iż jesteś Polakiem. Polako bowiem to po serbsku powoli, a obywatel naszego kraju pisze się i wymawia po tamtejszemu Poljak (z miękkim l, tak jak

to było z wymienionymi w artykule M.A. Wasilewskiego wyrazami „ludi” i „ljudi”).

Na marginesie: dobrze byłoby, aby w Waszym piśmie znalazło się też wyjaśnienie, skąd taka dziwna pisownia wyrazu „JEX” (z łacińskim J i cyrylicznym Ż)... Otóż, jak wiadomo, język serbsko-chorwacki to chyba jedyny europejski język używający oficjalnie dwu alfabetów: cyrylicy (w Serbii) i łacińskiego (w Chorwacji, aczkolwiek i na terenach „cyrylicznych” coraz częściej się używa naszego alfabetu). Jugosłowiańska cyrylica raczej się nie różni od alfabetu rosyjskiego czy bułgarskiego, ma jednak kilka oryginalności, z których jedną jest zastąpienie znaku Ъ, używanego w alfabecie rosyjskim i bułgarskim, łacińską literą „J”. Stąd np. słowo „Jugostawia” pisze się alfabetem łacińskim JUGOSLAVIJA, cyrylicą ЈУГОСЛАВИЈА (Oczywiście, jak z tego widać, nie ma tam także liter ю (ju) i я (ja), natomiast łacinnie „E” (cyrylicznie) wymawia się jak „e”, nie zaś, jak po rosyjsku, jak „je”).

Skoro jesteśmy na południu Europy, to ponieważ spora liczba naszych rodaków tradycyjnie uda się na letni wypoczynek nad Bałaton dobrze byłoby, aby „Szpilki” przestrzegły przed zabawnymi wpadkami językowymi tych Polaków, którzy nie mogą się przyzwyczaić do sławnej węgierskiej anomalii ortograficznej (wymowa „s” jak „sz”, a „sz” jak „s”). Jest na Węgrzech miasto, które nazywa się Szeged. Wymawia się po polsku „Seged”. Wymówienie tej węgierskiej nazwy według zasad polskich (a więc jak „szeged”, co z kolei po węgiersku pisze się „seged”) spowoduje, że wyraz ten nabierze dosłownego znaczenia „twoja d...”! Podobno jeden z naszych amatorskich chórów, który występował tam na występy i nauczył się po węgiersku pieśni o Szegedzie, dał się na to nabrać i publiczność śladowa na podłodze ze śmiechu! Nawiasem mówiąc: polska nazwa miasta Szeged brzmi Segedyn, piszemy ją więc według zasad ortografii polskiej. Tymczasem w Warszawie na Bielanach, na osiedlu Wrzeciono, istnieje ulica „Szegedyńska” (sic!!! – tak figuruje na tablicach i na planie miasta!). To się

nasz bracia Węgrzy złapią za głowę! Drugi i ostatni przykład z tej samej beczki. Istnieje w języku brataników końcówka „-ség” – odpowiednik polskiego „ość”, „stwo”, „ctwo”. Litera „é” (e z kreską) wymawia się mniej więcej jak francuskie „é”, czyli coś między „yj” a „ij”. Przykład: elnök – prezes, przewodniczący; elnökség, czytają „elnökseyg” – prezesostwo, prezydentura, prezydium. Większość Polaków ma tendencję do wymawiania owego „-ség” ze zwykłym „e”, tak jakby nie miało ono kreski – a więc „szeg”. Domyślamy się już od razu (z poprzedniego przykładu), że osobnik taki wyraża się per „d...”, wywołując niemałe zdumienie i zażenowanie u rozmawiającego z nim Węgra. Był jednak taki, że tak powiem, „urzędowy” przypadek i u nas. W Zakopanem dość długi czas stała na rynku tablica z napisem oznajmującym, że handel poza placem targowym jest surowo zabroniony – w podpisie: Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Zakopanem. Napis był po polsku, po niemiecku i po węgiersku. Dlatego wcześniej dałem jako przykład wyraz „elnökseg” – „prezydium”. W napisie węgierskim bowiem pominięto kreskę nad „e”, przez co „prezydium” zmieniło się na „prezesowską d...”. Będąc wówczas na urlopie w Zakopanem widziałem grupę Węgrów śmiejących się w kulak przed ową tablicą. Później jakiś widocznie zgorzchniony Bratanek domalował ołówkiem brakującą nieścisłą kreskę nad „e”. Przestrzegam na koniec przed nieprawidłowym wymówieniem popularnego węgierskiego toastu: „Na zdrowie” – „Egész-ségére”, wymówić należy „egyis-szgyire”, ponieważ w przeciwnym razie zamiast powinszować naszym Przyjaciółom zdrowia powiemy „Na całą d...!” no i wyjdzie wielka kłapa.

Mając nadzieję, że jednak nie będzie kłapy, a tylko wielki i serdeczny śmiech (który – jak wiadomo – też zdrowie!), życzę Sz. Redakcji dużo śmiechu, zdrowia, przyjemnej pracy i słonecznego urlopu nad Bałatonem.

mgr KRZYSZTOF GÓRSKI  
(prac. Biblioteki Akademii Muzycznej w Warszawie)  
Warszawa

P.S. I jak najostrej kłujacych „Szpilek”.

## W STODOLE NA NIEOCENZUROWANYM

Zdarzyło się, że my, tzn. Galeria Dzisiaj, działająca w CKS „Stodoła” zabrała głos w sprawie cenzury i zorganizowała wystawę... wszelkich możliwych „niecenzuralności”. Były więc publikacje pozbawione debitu – krajowe i zagraniczne, zbiorki rysunkowych dowcipów, „świerszyczki”, porno-filmy. Były też prace plastyczne, zdaniem autorów obciążone grzechem „nieprzyzwoitości”. A potem usiłowała być dyskusja – nie bardzo udana, bowiem zabrakło głównych protagonistów – przedstawicieli GUKPIW z jednej oraz tych, którymi owi przedstawiciele zajmują lub zająć by się chcieli ze szczególną troską – zdecydowanie niezależnych wydawców, mniej lub bardziej zależnych publicystów, redaktorów itp. Jedno jednak z wystąpień zainteresowało nas szczególnie: otóż zaatakował nas bezpardonowo i pryncypialnie pewien ocenzurowany przez nas (tak, tak, ocenzurowany) artysta. Zgodnie zatem z dobrą tradycją nie przedstawimy racji „pokrzywdzonego”, natomiast czujemy potrzebę zareagowania na ową napaść:

Odpowiedź pewnemu ocenzurowanemu przez nas artyście:

Nie będziemy szarpać sojuszków, bo i po co?  
I co nam wtedy zostanie?

Twoje ząbki są bardzo sprawne, ale bardzo małe – możesz nimi co najwyżej dorobić MU koronkę do tego „krawata”... i to wszystko. My nie mamy tej cyrkowej umiejętności rzucania siekierą jak bumerangiem, ale potrenujemy.

Miał Pan bardzo dobre wystąpienie, życzymy powodzenia w pracy twórczej. Mamy świadomość, że nasz pokaz nie był doskonały. Ale przecież przedsięwzięcie to pionierskie, nieproste i... na cenzurowanym. Wszystkim zawiedzionym a zainteresowanym dajemy słowo, że mimo usilnych starań udało nam się uzyskać tylko tyle. Wierzmy jednak, że nadzieję pokładane w naszym pokazie spełniła się do końca w działalności BANKU; otóż nasza Galeria chce stworzyć niecenzurowany bank trucizn i odżywek narodowych. Aby zostać udziałowcem BANKU należy przybrać wymyślony kryptonim i wnieść do BANKU odpowiedni wkład w postaci niecenzurowanego wydawnictwa. Kierownictwo galerii po zaakceptowaniu wkładu w wyznaczonym przez nadawcę punkcie kontaktowym umieści instrukcję udziałowca oraz pełny, wciąż aktualizowany wykaz materiałów, z których można korzystać.

ZDZISŁAW GNIĄDEK  
CKS „Stodoła” – Warszawa

P.S. Oczywiście, że uwzględniamy w BANKU miłośników pornografii.

## LEKCJA OTWOCKA

**T**rasę otwocką znam dosyć dobrze. I nie powiem, iżbym za nią przepadał. Od wołomińskiej co prawda lepsza, lecz też bogata w ekspresyjną młodzież. Jej ostatni popis powszechnie już znany: awantura na dworcu, dwukrotne podpalenie posterunku MO. Nic nie pomogła interwencja miejscowego proboszcza, częściowo jedynie załagodziła konflikt interwencja „Mazowsza”. Na otwockich peronach zrodził się układ odniesień, które przejmują lękiem. Bo przecież zarzewiem afery był okrzyk zatrzymanego przez MO młodzieniaszka, ponoć podpitego, ponoć znanego funkcjonariuszom z uprzednich ekscesów... Nieważne zresztą te „ponocie” – istota sytuacji tkwi w skali zbiorowej reakcji, jaką wyzwolił wrzask, że „milicja bije!” Tłum demoluje posterunek, występuje czynnie przeciw nominalnym stróżom porządku. Ze tłum czyni to w imię porządku, zdaniem krzyczącego o pomoc – naruszonego na jego karku? Ale nikt z tego tłumu nie mógł sprawdzić, gdzie prawda. Na to nie zaistniały obiektywne szanse, tłum a priori zakładał słuszość pijacką, nie słuszość milicyjną. Właśnie automatyzm przebiegu wyboru przeraża, gdyż trudno uwierzyć, iżby w ciżbie, która kłębiła się przez pół doby na otwockich peronach uczestniczyła jedynie rozwydrzona chuliganeria. A jeśli nawet to nikt ze statecznych obywateli nie próbował jej się przeciwstawić.

Ze zdarzenia tego wysnuć trzeba dwa wnioski. Primo – że milicja ma u nas kiepską

– To mi wygląda na opozycję.

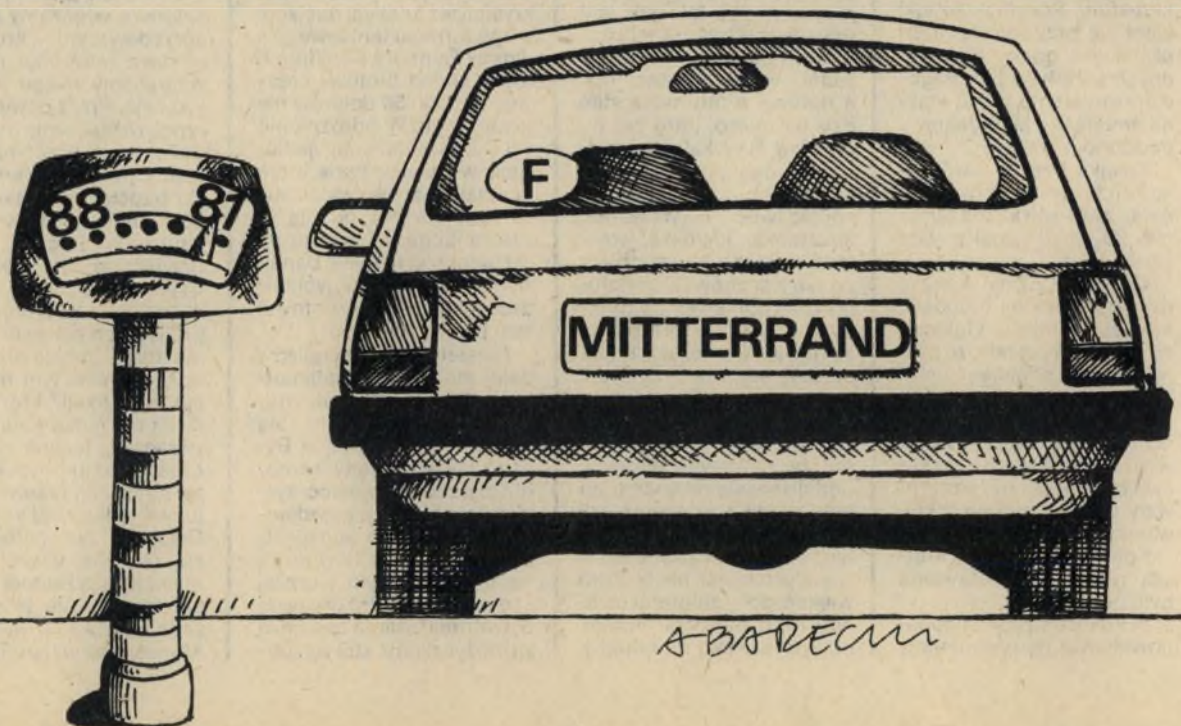


SZYMON  
KOBYLŃSKI

reputację. Secundo – że jeśli jutro będzie chciał mnie pobić chuligan – nikt nie stanie w mojej obronie, a już w każdym razie nie funkcjonariusz MO. Obawiam się, że oba wnioski są słuszne. Pierwszym niech się martwi minister spraw wewnętrznych. Drugi? Obyśmy nie musieli wszyscy się nim martwić.

Otwork to otwarcie furtki do chaosu. Leży w interesie wszystkich rozsądnych sił społecznych, aby furtkę tę zatrzaskać w sposób jednoznaczny...

REDAKTOR



ANDRZEJ BARECKI

# BOCZEK PRZESZEDŁ DO DRUGIEJ GRUPY

Biorąc przykład z premiera, dokonaliśmy w tych dniach niespodziewanej inspekcji Hali Mirowskiej – jednego z największych sklepów spożywczych stolicy. Wrażenia nasze postanowiliśmy uwiecznić dla potomności, a także dla licznych znajomych z innych miast i wsi, żeby mogli porównać je ze swoimi doświadczeniami i mieć argument w dyskusjach – czy w Warszawie jest lepiej czy gorzej niż u nich.

Po wejściu do hali klient ma możliwość wyboru, w której z pięciu kolejek będzie stał najpierw. Kolejka pierwsza liczy około 50 osób, które chciałyby kupić wędlinę. Przy pomocy lornetki można z końca kolejki zobaczyć kielbasę zwyczajną oraz grubsze wędliny grupy pierwszej. Mówi się, że bekon przeszedł do drugiej grupy, ale jest to rozmowa o Wielkim Nieobecnym jak w sztuce Becketta.

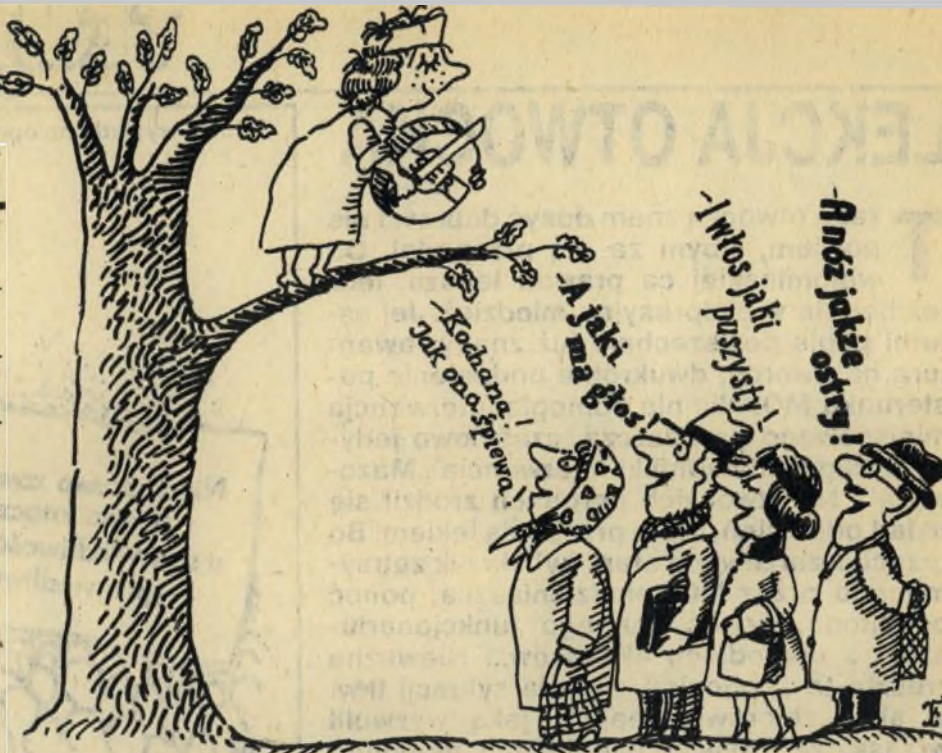
Kolejka druga jest znacznie dłuższa, liczy około dwustu osób i wije się w wąskich przejściach pomiędzy stoiskami. Nosi ona charakter biwakowy i długotrwały. Najbardziej umęczeni siedzą na ziemi, podłożywszy sobie pod siedzenie kawałki tektury. Początek kolejki kłębi się przy stoisku mleczarskim, gdzie bez żadnych kartek po półtorago-dziennym staniu kupić można śmietankę jak mleko i – podobno – biały ser.

Kolejka trzecia jest krótka i ruchliwa. Liczy około 30 osób, z których każda otrzyma 25 deko smalcu bez kartki.

My wybraliśmy kolejkę czwartą, średniej długości, stojącą po mięso. Oględziny stoiska wykazały, że dysponuje ono schabem i mięsem wołowym bez kości, dla posiadaczy kartek grupy I, tłustym mięsem wołowym z kością (grupa II) i kaczkami, które reprezentowały drób skrzydlaty i pływający.

Kolejka piąta, nieco krótsza niż druga, ustawiona była po chleb.

W kolejce czwartej dominowały następujące tematy



JERZY FLISAK

rozmów: Czy zamiast karczaka można otrzymać całą kaczkę – czy pół? Czy zamiast kupować dzisiaj – poczekać na coś lepszego do jutra, tj. do przedostatniego dnia ważności kartek kwietniowych i ryzykować, że kartka nam w ogóle przepadnie, bo niczego nie będzie? Czy zdąży się wyskoczyć z kolejki czwartej do kolejki trzeciej po smalec i wrócić z powrotem? Kto ma kartkę z nadrukiem omyłkowym, a kto nie i jak wygląda ta pomyłka? Gdzie podziało się 10 tys. ton mięsa, o których minister przemysłu spożywczego i skupu mówił wczoraj w dzienniku, że zginęły? Co jest lepsze: połączyć kolejkę pierwszą (wędliny) i czwartą (mięso), żeby nie trzeba było stać dwa razy, czy też tak, jak jest obecnie? Dyskutanci podzielili się na dwa obozy. Jedni woleliby stać raz a dobrze, a inni wolą stać dziś po mięso, jutro zaś po wędlinę. Radykalowie uważali, że najlepiej byłoby we wszystkich stoiskach sprzedawać wszystko: śmietankę, kielbasę, smalec i mięso, a nawet chleb, co nie jest znów tak światoburcze, ponieważ są to jedyny artykuły, które budzą zainteresowanie, a nie jest to zbyt wiele jak na jedno stoisko.

Po pół godzinie stania, zapewniliśmy panią za nami, że za chwilę wrócimy i udaliśmy się na spacer po hali, celem zobaczenia, jak wygląda ocet w pozostałych stoiskach. Żadne z pozostałych stoisk nie budziło większego zainteresowania, tylko niewielki tłumek oblegał stoisko monopolowe.

we. Zielenina, kompot ze śliwek, pokarm dla ptaków, przecier dla niemowląt i garnki były do nabycia bez kolejki i bez kartek. Przy mrożonkach warzywnych spotkaliśmy znajomą, która powiedziała nam, że Ewa Frykowska mieszka w Monte Carlo, a także, że Monaco jest piękne, ale drogie. Na szczególne wyróżnienie zasługuje podobno restauracja „Belle Epoque” w hotelu Hermitage na placu Beaumarchais. Jest to lokal secesyjny, wyłożony różowym marmurem, na tle którego zauważyć można takich gości jak Helmut Schmidt, Gregory Peck, Claudia Cardinale, Jacques Chirac, książę Karol czy Gina Lollobrigida. Ostatnio z pożywnej kuchni korzystali też finaliści miejscowego turnieju tenisowego – Jimmy Connors i Guillermo Vilas. Obiad firmowy kosztuje tam ok. 50 dolarów nie licząc wina. W odróżnieniu od konkurencyjnej jadalni w Hotel de Paris, która specjalizuje się wyłącznie w pasztetach i sufletach, „Belle Epoque” nie stroni od langusty, łososia, banalnego kotleta de volaille z avocado, czy pikantnych dań prowansalskich.

Niestety nie mogliśmy dalej słuchać tej białamutnej relacji, ponieważ zauważyliśmy, że zbliża się nasz moment w kolejce. Byliśmy tak blisko lady, że mogliśmy zaobserwować system pracy trójki ekspedientek. Pierwsza to kancelistka. Zabawia gości rozmową na temat co było wczoraj i co może być jutro (wczoraj był wtorek), sama zaś bawi się nożyczkami, których po-

dobno w Warszawie jest pod dostatkiem, a dla innych miast nie starczyło. Wycina ona każdemu nie według potrzeb i nie według pracy, ale za to sprawiedliwie. Przed sobą posiada pulpit, coś na kształt płaskiego drewnianego pudła o rozmiarach około pół metra na metr. W wieku tego pudła znajduje się ok. dziewięć otworów o średnicy naparstka, na różne rodzaje kartek. Po obstawieniu odpowiedniego numerka (co w odległy sposób kojarzy się z ruletką w Monte Carlo) wydaje żeton czyli kartkę papieru, na której pisze własnoręcznie co nam przysługuje. W naszym przypadku obstawiliśmy 85 dkg mięsa II gatunku.

Żeton ten, zwany również sztonem wręczamy drugiej sprzedawczyni – krupierce – która informuje nas, że wygraliśmy mięso wołowe z kością. Przez chwilę przetrząca różne formy wygranej usiłując wybrać najmniej tłustą, po czym kieruje nas do trzeciej sprzedawczyni, która patrzy na to wszystko znudzona i czeka, żeby przyjąć od nas pieniądze. Czyni to bez żadnej ochoty, czemu nie należy się dziwić, ponieważ płacimy nikczemnie mało, mniej niż 30 zł, dokonując w tym momencie transakcji, której cały świat nie może pojąć, gdyż zwracamy ledwie znikomą część kosztu produkcji. Na tej transakcji przewrócił się już niejeden rząd w Polsce. Ostatnio zaś przewróciło się znacznie więcej. Natomiast książę Rainier trzyma się mocno. Ale to nie jest żadną sztuką – my byśmy Monaco też wyżyli.

Powiedział Lech Wałęsa:  
„Kiedy spluniemy w dłoń  
To w dwa lata zrobimy  
Z Polski drugą Japonię”



Myśl o drugiej Japonii  
Trafna jest niesłychanie,  
Bo przecież już od sierpnia  
Żyjemy na wulkanie.

Wstrząs podziemny w Piotrkowie  
Osiągnął cztery stopnie...  
Pewnie aktyw się zatrząsł  
Czymś wzburzony okropnie.

W Karlinie wytrysk ropy  
Ognistą przybrał postać...  
To Kozdra tak się palił,  
By na funkcji pozostać...

U nas – co województwo  
To czynna Fudżijama.  
Naród nasz jest jak lawa...  
A skorupa ta sama.

Dość ogłosić w gazetach  
I przeczytać w Dzienniku –  
Polska drugą Japonią!  
Nie braknie Japończyków...



Miło pomyśleć o tym,  
Że już Japonia z Polski.  
Skład Rady do spraw Reform  
To jak skład apostołski.

Beksiaka pominięto.  
Secomskiego wpuszczono,  
By znowu, po japońsku  
Mógł uderzyć w kimono...

Marzę, że już jesteśmy  
Krajiną Hond i Toyot.  
W Telewizji pan Bilik  
Towarzyski jak kojot.

**MAREK  
RYSZARD  
GROŃSKI**

## **DRUGA JAPONIA**

Pisze Japończyk Urban,  
Dziennikarski Samuraj:  
Choć władza to nie gejsza  
Przeciw władzy nie szuraj!

Jak chce Pismo – nadstawia  
Koleżkom z PAX-u polik  
Redaktor Stefanowicz...  
Japończyk i katolik.

Nad czarką ciepłej sake  
Starcy chłoną pogłoski,  
Wreszcie w wiceszoguny  
Poszedł M. F. Rakowski.



Księżyc jak z Hokusaja.  
Niebo z lazuli lapis...  
Nagle ryk przeraźliwy,  
Jakby ryczał byk Apis –

„Za co mnie to robicie?  
Ja nie chcę! Nie poradzę!  
Ja mam żonę i dzieci!  
Nie będę kamikadze!”

Skąd w szczęśliwej Japonii  
Te sadystyczne harce?  
Znow ktoś musi wystąpić  
W „Listach o gospodarce”...

ilustr. JULIAN BOHDANOWICZ



Z satysfakcją gościmy na łamach „Szpilek” wybitnego przedstawiciela literatury emigracyjnej, który z dalekiego New Yorku przesłał na warszawski plac Trzech Krzyży nie publikowane nigdzie fragmenty swej prozy satyrycznej. Wacław Solński debiutował w roku 1944 powieścią *Pociąg odchodzi o północy* (wyd. Edynburg). Już wcześniejsze jego próby prozatorskie ogłaszane podczas wojny w polskiej prasie londyńskiej sygnalizowały nieprzeciętny zmysł postrzegania złączony z bardzo indywidualnym poczuciem ironii.

Za najbardziej znaczący utwór Solńskiego uchodzi wydana w 1957 roku powieść *Rysy twarzy*, której akcja rozgrywa się w dwóch Polskach – tej jeszcze „rozbiorowej” i „międzywojennej”, zaś tematem autorskiej analizy jest... mistycyzm doktryn społecznych; z innych pozycji odnotujmy tom nowel pt. *Czarna spowiedź*.

Żywimy nadzieję, że Solński upodoba sobie gościnę w „Szpilekach”, a nasi Czytelnicy z kolei zagustują w jego specyficznym stylu *grotesque*.



## Najszybszy człowiek świata

Klimkiewicz, który mieszkał w Nowym Jorku, zauważył, że wrotki znów tam ostatnio weszły w modę, więc kupił na wyprzedaży kilka używanych atomów i wcielił je do wrotka jako energię napędową, żeby się odznaczyć. I dopiero poleciał! Żaden ptak go nie mógł prześcignąć, nie mówiąc już o cyklistach.

Jak tak, to zrobimy wyścigi, żeby się przekonać, powiedzieli specjaliści. Do wyścigów stanęli: Jonatan Kirk z Londynu na rasowej kobyłe, siostry Wint z Chicago na motocyklu, Anna Hańba z Genewy na odrzutowej hulajnodze i naturalnie Klimkiewicz. Zaraz jak tylko ruszyli Klimkiewicz wyprzedził współzawodników o mnóstwo kilometrów i pędził dalej ze wzrastającą szybkością, wielokrotnie przekraczając szybkość kuli karabinowej. Pędził przez miasta, kraje i ogrody, okrążając mnóstwo razy kulę ziemską, aż nagle rzuciła mu się w oczy damska bielizna, a właściwie jeden jej szczegół, który się suszył na sznurku. Klimkiewicz stanął.

– Do kogo należą te wytworne dessous? – zapytał osobnika, który stał opodal.

– Do panny Zimmerman, – odrzekł osobnik.

– Imieniem?  
– Izabella.  
– Właśnie. Wiek?

– Czterdzieści osiem lat.

– Wykluczone! Izabella Zimmerman była w zeszłą niedzielę nastolatką! W zeszłą niedzielę, czyli drugiego lipca, a dziś mamy...

– Osiemnastego, 1999 roku, – powiedział osobnik.

Klimkiewicz zbłądził, najpierw wewnątrz, a następnie zewnętrznie, ponieważ sobie uprzytomnił, że dzięki swoim atomowym wrotkom przekroczył granicę czasu i wjechał pędem w przyszłość. Zabolalo go to, ponieważ Izabella Zimmerman była mu uczuciowo szalenie bliska, a panny po dwudziestce na ogół dla niego nie istniały. Ale już mu w głowie zaświtał pomysł, jak może wrócić do teraźniejszości, więc tylko jeszcze szybko zapytał osobnika, co ciekawego zaszło na ziemi w ciągu ostatnich lat.

– Niewiele – odrzekł osobnik. – Jeśli chodzi o rozwój techniki, to ogrzewamy mieszkania rurami wprost ze środka ziemi, gdzie dawniej było piekło. I naturalnie chodzimy po mieście na szczudłach.

– Z powodu? – zapytał ostro Klimkiewicz.

– Można robić większe kroki i nie trzeba brukować ulic. Również duża oszczędność w wydatkach na obuwie.

– To prawda, – rzekł Klimkiewicz, – ale się obawiam, że chodzenie na szczudłach pozabawia wdzięku ładne dziewczyny. Zwłaszcza jeżeli patrzeć na nie z tyłu. Ale komu w drodze temu czas.

I ruszył w drogę. Przypominał sobie, że jeden amerykański lotnik wyleciał pewnego razu z Nowego Jorku o ósmej rano, obleciał świat dookoła

i powrócił o siódmej, o godzinę wcześniej niż wyleciał, ponieważ podróżował z szaloną szybkością ze wschodu na zachód. Każda sekunda lotu cofała go o jakieś trzy sekundy w czasie. Zażądał po powrocie do Nowego Jorku, żeby mu jeszcze raz dali śniadanie ze względu na jego wyczyn. Dali mu jajecznicę z boczkami i melona.

Klimkiewicz postanowił wziąć przykład z lotnika, tylko że naturalnie popędził z zachodu na wschód, a nie na odwrót.



## Lekkie życie

Jeden Holender, mieszkający w Amsterdamie, postanowił kupić sobie koszulę.

– Proszę o koszulę, – powiedział do sprzedawczynie w sklepie.

– W kratkę? – zapytała sprzedawczynie.

– Dlaczego w kratkę. Ja już panią zdaje się gdzieś widziałem.

– Nie wierzę. Ta w paski? Import.

– Import?

– Import.

– Ach, te oczki. Ja bym pa-

nią chętnie ugryzł zza krzaka.

– Plotki. Lubi pan jeździć windą?

– Jeszcze jak!

I otóż, chociaż słowa i całe zwroty w tej rozmowie nie były wcale użyte w ich ścisłym znaczeniu, Holender udał się ze sprzedawczynią do kina jeszcze tego samego wieczoru.



## Pani Puc i syjamski kot

Pani Gloria Puc, mieszkanka Nowego Jorku, zobaczyła na ulicy sprzedawcę dziecięcych baloników, które sprzedawca przywiązał do drzewa. „Nic dziwnego”, rzekła sobie pani Puc, „bo gdyby je przywiązał do pałta, baloniki porwałyby go w górę”. Następnie pani Puc kupiła hurtem wszystkie baloniki w liczbie czterdziestu sześciu i przywiązała je do siebie, co nie było trudne, bo miała wszędzie mnóstwo pętelek. Baloniki uniosły ją do góry, ale nie bardzo wysoko, na jakieś dwadzieścia metrów. Płynęła sobie jakiś czas nad chodnikiem, a ponieważ była niedziera, po ulicy spacerowało dużo osób.

Po pewnym czasie pani Puc zaczęło się nudzić, głównie dlatego, że nikt na chodniku nie zwracał na nią uwagi. Przyczyną tego była zawiść. Przechodnie obojga płci myśleli, że pani Puc chce się koniecznie wybić, więc odwracali głowy,

żeby jej nie sprawić przyjemności zwróceniem na nią uwagi. Wobec tego pani Puc przekłuta wszystkim baloniki szpilką, jaką miała w torebce, dzięki czemu wylądowała na ławce w parku, przylegającym do ulicy.

Na ławce siedziała siwa pani dostatnio ubrana, która zapytała panią Puc, czy nie kupiłaby kota.

– Jakiego kota? – zapytała pani Puc.

– Syjamskiego. Kosztuje dziesięć dolarów. Nie chodzi mi naturalnie o korzyść materialną. Mój mąż jest wybitnym tenorem.

– On czy ona? – zapytała pani Puc.

– Kto?

– Kot. Samiec czy przeciwie?

– Pani wybaczy, ale ja w takie intymne szczegóły nie wchodzę.

– Wcale się pani nie dziwię – rzekła pojednawczo pani Puc.

– Jednakowoż kota od pani nie kupię, bo jakoś nie odczuwam potrzeby.

– A cóż mnie może obchodzić, jakie pani odczuwa potrzeby – odparła siwa pani. – Dziwię się, że jeszcze pani nie osadzili w kryminale za arogancję i egoizm.

Pani Puc miała jeszcze na szczęście swoją szpilkę. Przytrzymała lewe oko, wycelowała i trafiła boleśnie swoją rozmówczynię w prawe udo.



## Dziwna ryba

Z Madagaskaru donoszą, że wylowiono tam z oceanu rybę średniej wielkości, która miała nie jeden ogon tylko trzy, każdy innego koloru, a na brzuchu napis po japońsku: „Godziny przyjęć od drugiej do szóstej”. Specjaliści zbadali rybę przy pomocy lupy i mikroskopu, ale jej zagadka nie została wyjaśniona.



## Konstanty Czub i hiszpańska królowa

Konstanty Czub pracował w prywatnym przedsiębiorstwie za psie pieniądze. „Musisz poprosić o podwyżkę”, powiedział mu przyjaciel. „Nie mogę”, odrzekł Czub. „Wiesz, jaki jestem nieśmiały. Na samą myśl, że stanę przed dyrektorem twarzą w twarz oblewa mnie zimny pot”. „W takim razie nie stawaj przed nim twarzą w twarz”, odparł przyjaciel „tylko sobie powieś poniżej pleców plakat z napisem CZY MOGĘ LICZYĆ NA LEPSZE WYNAGRODZENIE? I więcej nic. Idź do dyrektora pod jakimś pozostawieniem, a jak będziesz wychodził, dyrektor zobaczy plakat, uśmieje się z dowcipu i osiągniesz zamierzony cel”.

rem, a jak będziesz wychodził, dyrektor zobaczy plakat, uśmieje się z dowcipu i osiągniesz zamierzony cel”.

Konstanty Czub tak właśnie zrobił. Dyrektor, jak tylko zobaczył plakat, wykrzyknął „Ha! ha! ha!”. Ale nic więcej nie powiedział, bo w tej samej chwili weszła do pokoju hiszpańska królowa. Była to całkowicie autentyczna hiszpańska królowa w sukni z błękitnego atlasu i w ogóle. I z czarującym uśmiechem na twarzy.

– Dzień dobry, – powiedziała hiszpańska królowa. – Czy panowie podłali już dziś swoje kwiaty w doniczkach?



## Żelaziński i klasycy

Nikt nie wiedział czym się zajmuje Żelaziński, a on tymczasem nauczył się rozmawiać z czyżykami przy pomocy wygięć i innych ruchów palców obu rąk. W tym stanie rzeczy ujrzał starego czyżyka na gałęzi i zapytał go, co słyszał nowego.

– Nadeszła ważna wiadomość z Kalkuty, – odrzekł czyżyk, gestykulując pazurkami obu nóg. – Odnaleziono tam list do żony wybitnego klasycznego pisarza nazwiskiem Lew Tolstoj. Oboje, dodam, już dawno nie żyją.

– Sądzi pan, że tego nie wiedziałem? – zapytał Żelaziński.

– Nie sądzę, ale nie przysięgłbym – odparł czyżyk. – List jest krótki: „Dobranoc, Teodoro”.

– To wszystko?

– To wszystko.

– A czy list był podpisany?

– Niestety, nie był.

– Wielka szkoda. Ale nie możemy żądać wszystkiego naraz. Jednakowoż mi się wydaje, że żona Tolstoja miała na imię Zofia, a nie Teodora.

– Słuszną uwagę. Nazywając ją Teodora, pisarz prawdopodobnie żartował.

– Prawdopodobnie, – powiedział Żelaziński.

– Do widzenia, – powiedział czyżyk.

– Tymczasem, – odparł Żelaziński.



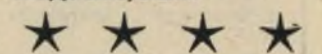
## Motyl doktora Rotondy

Józefowi Rotondzie, który był doktorem filozofii, powiedział znajomy, że najlepszą lokatą kapitału, chroniącą od inflacji, są obecnie motyle. Jeden dentysta kupił oszklone pudełko z przeklutymi motylami i po roku sprzedał je z zarobkiem dwudziestu procent. W pudełku było tylko sześć motyli. Gdyby ich było więcej zarobiłby jeszcze więcej. Motyli można nawet nie kupować, tylko samemu łapać, powiedział ten znajomy.

I akurat w tydzień później Rotonda zobaczył pięknego motyla, ze skrzydłami nakrapianymi na żółto i na niebiesko. A że nie miał ze sobą siatki na motyle, bo jej w ogóle nie posiadał, zastąpił siatkę swoją jamą ustną. Zbliżył się do motyla na palcach, otworzył szeroko usta i schwycił go w locie. I naturalnie zaraz zamknął usta, żeby mu motyl nie uciekł. I z uwięzionym motylem udał się do domu.

W domu zapytała go żona, czy na dworze jest zimno czy ciepło. Rotonda, nie mogąc otworzyć ust, napisał na kawałku papieru: „Zamiast stawiać mi głupie pytania, wyjdź i zobacz. Załączam pozdrowienia, Józef Rotonda, doktor filozofii”.

Żona schwyciła tacę i trzepnęła nią męża po głowie. Rotonda oburzony, krzyknął jakieś słowa. Motyl, korzystając z tego, uciekł ironicznie machając skrzydłami.



ilustr.  
WOJCIECH  
GRZYMAŁA



## Niebieskawa maść

Jeden melancholik wynalazł niebieskawą maść, ale nie wiedział, do czego ma służyć. Na razie umieścił ją w owalnym pudełku.

– Co do mnie, powiedziała jego żona, którą zapytał o radę, to mogę ci powiedzieć tylko tyle, że twoja maść jest za mało niebieska. Powinna być właściwie koloru starego bażanta.

# NABYWCY STAREGO PORTFELA

albo

## ŚMIERĆ TALONU

.....do listu swojego, do-  
wodu wpłaty pełnej sumy  
sprzed czterech lat, ksero-  
kopii odpowiedzi „Polmo-  
bytu” oraz opinii z miejsca  
pracy dołączam zaświate-  
czenie ZBOWiDu, z którego  
wynika, że w roku 1943 by-  
łem poszukiwany przez hit-  
lerowską policję, co dodat-  
kowo upoważnia mnie do  
otrzymania samochodu...”  
– tak albo podobnie skamiał  
niejeden pechowiec, słusz-  
nie uważając, że dla tak  
wzniosłego celu jak przy-  
śpieszenie kupna wozu  
trzeba zdyskontować także  
obrobioną za okupacji klat-  
kę z królikami. Pieniądze?  
Komu potrzebne jego pie-  
niądze? Wtedy, za starego  
reżimu, przypuszczaliśmy,  
a dzisiaj wiemy na pewno,  
że jak państwu są potrzeb-  
ne pieniądze, to je sobie  
może wydrukować, od nas  
nie potrzebuje. Ludziom  
bardziej od pieniędzy po-  
trzebne były plecy, a tych  
dodrukować nie można.

Talon był jedną z pierw-  
szych ofiar na froncie odno-  
wy. Symbolizował, może  
nieco przesadnie, chody  
i siuchy, kliki i komeraże,  
zniewolenie i kadzenie, for-  
sę i władzę. Taki jest przy-  
najmniej mój klasowy punkt  
widzenia, bo i ja pilem z nie-  
czystego źródła. Resztkę  
samochodów, która spada-  
ła z talonowego stołu,  
sprzedawano zwykłym  
śmiertelnikom według ko-  
lejności zgłoszeń i to oni  
właśnie pokazywali blizny  
z przeceny, żeby się wy-  
pchnąć jeden przed drugie-  
go. Albo też lubili się popi-  
sywać inżyniersko-prawni-  
czą erudycją, smarując za-  
maszyste listy: „.....dotyczy:  
terminu odbioru samocho-  
du. Zawiadamiam uprzej-  
mie, że wasza bezczelność  
przekroczyła wszelkie gra-  
nice... Pojazd mechaniczny  
o napędzie silnikowym jest  
mi niezbędny do pracy za-  
wodowej... Poniesiecie  
wielkie konsekwencje  
mojego niewywiązywania  
się z obowiązków służbo-  
wych... Odpis niniejszego  
posyłam do KC, premiera,  
Rady Państwa, prokuratora  
generalnego i sekretarza  
ONZ...”

Biedni ludzie. W centrali  
„Polmozytu” nazywano  
ich „nabywcami starego  
portfela”. To pachnie sta-  
rym, beznadziejnym emerytem,  
nie ma co się bać pogroźek,  
bo ktoś rzeczywiście potęż-

ny nie pisał, tylko dzwonił  
gdzie trzeba i zawsze coś  
tam wydzwonił. Stary por-  
tfel robił dużo hałasu, po-  
nieważ wpłacił na wartbur-  
ga, ale zaniechano importu,  
może dostać za dopłatą po-  
loneza, albo wpłacił na skodę,  
za pewien czas zapro-

bez żadnej komisji, żadne-  
mu systemowi, niczemu  
wierzyć nie będziemy.

Zgoda, niech będzie lote-  
ria. Zastanówmy się tylko  
nad wyjątkami. Minister  
zdrowia poprosił o pulę dla  
lekarzy, którzy z racji swoje-  
go zawodu... Minister rolni-

stanie i będzie bezskutecz-  
nie stał na postoju, klnąc  
poniewczasie swoją glu-  
potę.

Dlaczego pulę się nie  
mieścili, dlaczego przyjęto  
loterię, czy po to Fenicjanie  
wynaleźli pieniądze, żeby  
szukać lepszego sposobu  
rozdziału dóbr, których nie  
starcza? Wydaje się, że po-  
nowny wynalazek pienią-  
dza zarówno w kwestii sa-  
mochodowej, jak mięsnej,  
mieszkaniowej, nabiałowej  
i wielu innych mamy dopie-  
ro przed sobą. Na razie szu-  
kamy sprawiedliwości.  
Chcemy ją oprzeć na innym  
filarze, niż pieniądź. Jak  
miało się wkrótce okazać,  
co 23 obywateli naszego  
kraju (czyli chyba co piątą  
rodziną) miał pieniądze na  
pierwszą wpłatę. Chętnych  
było półtora miliona. Samo-  
chodów będzie ledwie 600  
tysięcy. Jedno z dwojga: al-  
bo będzie się bezlitośnie  
podnosić poprzeczkę cen,  
dopóki liczba klientów nie  
zrówna się z liczbą samo-  
chodów – albo pozostawi  
się ją nisko jak na podaż  
(choć wysoko jak na zarob-  
ki) i losowaniem rozstrzy-  
gnie, kto pojedzie, a kto  
pójdzie.

JAN BOLESŁAW OŻÓG

### NA WAWELU

**W załomie wawelskiej warowni  
całował się z mniszką raz wdowiec.  
Rzec mógłbyś, że nie zszedł, lecz wyszedł  
na bardzo wysoki manowiec.**

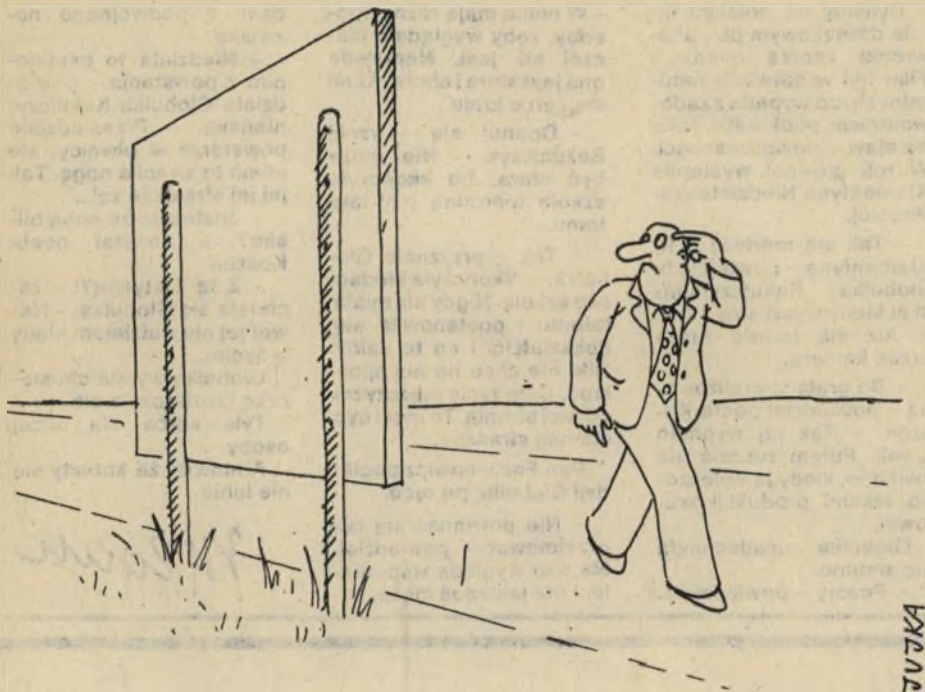
ponujemy mu małego fiata,  
który już pod pewnymi  
względami skodę dogonił,  
mianowicie pod względem  
ceny.

Tak czy owak talon obu-  
marł. Przygniatająca wię-  
kszość klientów, pytana czy  
nie, opowiadała się za lote-  
rią. Mówiono o niej, jak  
Churchill o demokracji, że  
„to najgorszy możliwy sys-  
tem, ale nikt nie wynalazł  
lepszego”. – Niech decydu-  
je ślepy los – mówili ludzie –

ctwa o pulę dla agrono-  
mów, którzy w warunkach  
wiejskich... Minister leśnic-  
twa dla swoich, którzy...  
Kiedy dodano trzy pulę,  
okazało się, że prawie nic  
nie zostaje dla ludzi z in-  
nych resortów. Więc żadnej  
puli nie będzie. Nawet tak-  
sówkarzy chciano wyłą-  
czyć z jakichkolwiek przy-  
wilejów, nie nasilając wyo-  
braźni, jak to będzie, kiedy  
taksówkarz nie dostanie,  
ale może i obywatel nie do-



ZBIGNIEW JUJKA



„— Być może zresztą na rynek wewnętrzny trafi więcej wozów, niż planujemy — powiedział dziennikarzom wiceminister przemysłu maszynowego — bo jak daleko będziecie tak pluli na ich jakość, nie będziemy w stanie sprzedać ich za granicą”. To śmiałe pomówienie, że zagraniczni kupcy kierują się naszymi opiniami przyjęliśmy jako miły kom-

sze dawne marzenia, żeby ludziom żyło się dostatniej. Niezbawna częścią dostatku jest sprzedaż ratalna. Otóż kto szczęśliwie wylosuje, będzie płacił w ratach. Płacił, płacił, aż zapłaci wszystko — i wtedy dostanie z „Polmozbytu” zawiadomienie, kiedy mniej więcej nadejdzie termin odbioru wozu.

Niektórzy klienci narze-

i udawanie. To samo nastąpi z fiatem 126p, który jest wprawdzie młodszy, ale intensywniej pracuje i szybciej się starzeje; mogą iść o zakład, że samochód, jaki odbierać będą szczęśliwcy roku 1985 nie będzie tym samym, o jakim myśleli wpłacając.

Tak, będą szczęśliwcami, bo pechowcy obsuną się na jeszcze późniejsze lata. Ogłoszony w marcu regulamin loterii przewidywał, że komu się nie uda w pierwszych trzech latach, to już w 1985 dostanie na pewniaka, bez losowania. Rzeczywistość, jak zwykle, przekroczyła nasze najśmielsze oczekiwania: na

małe fiaty popyt jest prawie trzykrotnie większy, niż podaź, na duże czterokrotnie większy i gdyby się chciało sprostać wszystkim zaliczkom, trzeba by sprzedawać samochody wyłącznie tym, co wpłacili pieniądze, aż do 1990 roku.

Niech minister finansów, który musiał z wypiekami na twarzy śledzić całą tę operację, docieka ile jeszcze pieniędzy zostało. Na poczet zakupu losów na niepewną loterię samochodową PKO zgarnęła w ciągu miesiąca 100 miliardów złotych. Wpłacali przecież nie sami badylarze, wytwórcy broszek i spadkobiercy cioci z New Jersey. Wpłacali ci sami, którzy w podaniu o pożyczkę, o wczasy czy o przedszkole dowodzą, że na głowę rodziny przypada poniżej 1000 zł. Wpłacali drobni ciulacze, którzy zabiegali u cioci i wujków, sięgali do pończochy i pod materac, sprzedali rodzinne kosztowności i wzięli dodatkowe zlecone. Ci sami, którzy jak ogromna większość z nas cieszyli się z podpisania porozumień w Gdańsku i Szczecinie, nie zdając sobie sprawy, że będą to także porozumienia w sprawie dłuższych kolejek po wszystko, nie tylko po mięso i masło, także po meble i samochód. Wydrenowali rynek z pieniędzy, ale wątpię, czy nacisk na inne niż samochodowa lady sklepowe zełżeje. Wątpię, czy ich wyrzeczenia dadzą odczuwalny efekt. I już się za nich martwię, że kiedy za sześć, siedem, osiem lat przyjdzie ich kolej na odbiór wozu — będą o nich mówili niecierpliwie: „nabywcy starego portfela”.

**MICHAŁ SYSKI**

**OWAKÓW**

**W Owakowie  
ludzie stoją na głowie  
z otwartymi ustami,  
bo tam się pączki  
turla ulicami.  
Stoją i każdy czeka  
To jest troska o człowieka.**

plement pod adresem naszego warsztatu. Może by wykorzystać siłę naszej sugestii i w innych sprawach, jak rozbrojenie, refinansowanie naszych długów, konwencja o sporcie amatorskim itd.? Ale to już dygresja. Jeżeli nawet jakiś Anglik czy Grek załamię się pod wpływem złośliwych publikacji polskiej prasy, ile wozów może nam przybyć? O ile zwiększyć się szansa w losowaniu? Doprawdy, ministrze, nie ma o czym mówić.

Losowanie spełnia woryginalny, polski sposób na-

kali, że ów wóz, na który będą wpłacać, nie jest, a tym bardziej nie będzie nowoczesny. Zdaje się jednak, że czeka ich miła niespodzianka. Ze źródeł zbliżonych do FSO donoszą, że tłoczniaki fiata 125p (czyli formy, które tłoczą blachy karoserii) już się rozlatują, bo dokonały pracy swojego życia: wytłoczyły ok. miliona sztuk. Robić kosztowne nowe tłoczniaki znaczyłoby skazać się na kolejne kilkanaście lat tej samej karoserii. Czeka nas więc raczej genialna improwizacja, sztukowanie, upiększanie



## DZIENNIK ZAŻALEŃ



## DOBRE SERCE

JANUSZ  
OSEKA

## PIES

Mówi się, że pies to przyjaciel człowieka. Może. Czy jest to jednak określenie pozytywne? Istotne jest przecież, jakiego człowieka jest on przyjacielem. Fakt ten określa dopiero, z jakich pozycji zwierzę działa.

Zjawił się taki właśnie w kolejce w sklepie spożywczym. Morda nieprzyjemna, skrzywiona, ślina mu z pyska kapie. Cały nakrapiany, ohydny, rasa w przybliżeniu – buldog. W sumie zjawisko odstręczające. Nie staje w kolejce, tylko od razu pcha się do przodu. W pysku, tym zaślinionym, koszyczek.

Rozepchnął ludzi, stawia koszyczek przed sprzedawczynią.

Akurat zresztą w kolejce wódkę sprzedają. Czystą „Krakus”.

Ludzie pracy w kolejce zaczynają szemrać.

Ktoś próbuje odepchnąć czworonoga.

– Pójdiesz na koniec!

Buldog warknął. Ślina mu pociekła z morderczych, pianę potoczył. Kto wie, czy nie wściekły. Z wściekłym psem nikt nie chce mieć do czynienia. Nie dość, że jest jak jest, to jeszcze do tego wszystkiego potrzeb-

Byliśmy na polskim filmie dźwiękowym pt. „Skowronki zaorzą miedzę”. Film był w barwach naturalnych, co wypadło z zadowoleniem podkreślić, jako przejaw nowoczesności. W roli głównej wystąpiła Klementyna Niedzielanka-Pocaluj.

– Tak się martwię o tę Klementynę – powiedziała Globulka Kąkulczyńska, kiedy wyszliśmy z sali. – Już się ledwie rusza przed kamerą.

– Bo grała sparaliżowaną – powiedział poeta Koszon. – Tak jej wypadło z roli. Potem ruszała się świetnie, kiedy ją wyleczono lekami produkcji krajowej.

Globulka uśmiechnęła się smutno.

– Pozory – powiedziała.

– W filmie mają różne sposoby, żeby wyglądało inaczej niż jest. Naprawdę ona jest stara i chora. Aż mi się serce kraje.

– Opanuj się – rzekł Bezpalczyk. – Nie może być stara, bo skończyła szkołę teatralną trzy lata temu.

– Tak – przyznała Globulka. – Skończyła biedactwo szkołę. Nigdy nie miała talentu i postanowiła się dokształcić. I co to dało? Nikt nie chce na nią spojrzeć. Całe życie mężczyźni od niej stronią. To musi być dla niej straszne.

Pan Fączynowicz poglądził Globulkę po ręce.

– Nie powinnaś się tak przejmować – powiedział. Na oko wygląda wspaniale. I ma jakiegoś męża, są-

dząc z podwójnego nazwiska.

– Niedziela to pseudonim z powstania – powiedziała Globulka Kąkulczyńska. – Przesiedziała powstanie w piwnicy, ale mimo to straciła nogę. Tak mi jej strasznie żal...

– Jesteście ze sobą blisko? – zapytał poeta Koszon.

– Z tą kretynką?! – zachnęła się Globulka. – Nawet jej nie widziałam nigdy w życiu!

Globulka wyjęła chusteczkę i rozbeczała się.

Tyle serca dla obcej osoby.

A mówią, że kobiety się nie lubią.

*Meyan*



WOJAKIEWICZ

na komu seria bolesnych zastrzyków!

Wszyscy więc milczą.

Sprzedawczyni poznała widać psa, bo zaraz mu do koszyka włożyła cztery półlitrowki w zamian za wyjętą stamtąd odpowiednią sumę w banknotach.

Pies wyszedł ze sklepu.

Nikt nie zareagował.

W gruncie rzeczy kupujący wyglądali na zadowolonych, że pies nikogo nie pogryzł i nie wykupił całego zapasu alkoholu.

Sprzeciwiłby się temu ktoś?

Wątpliwe.

Nikt wszakże nie zauważył również, że z zaułka muru przed sklepem oderwała się jakaś postać, która chyłkiem ruszyła za zwierzęciem.

Mężczyzna z podniesionym kołnierzem, w kapelu-

szu nasuniętym oczywiście na czoło.

Stara kamienica. Pooblupowane schody. Obdrapanne drzwi.

Pies warknął glucho. Drzwi otworzyła nieschludna staruszka.

Za psem wszedł szybko mężczyzna.

Pokazał legitymację.

Trudno wprost uwierzyć, co kryło się w szafach, komórkach, schowkach i pawlaczach obscurnego mieszkanka.

Samych półlitrowek było czterysta osiemdziesiąt pięć. „Krakus”, „Żytnia”, „Czysta wyborowa”, „Jarembiak”, „Złota jesień”. Czekolady tylko sto osiemdziesiąt tabliczek. Kawy sto kilo.

Zapłakała staruszka. Okazało się, że emerytka, dwóch synów na utrzyma-

niu, niepracujących. Wszyscy sterroryzowani przez wściekłego buldoga. Długie tygodnie w strachu o życie. Gryzł, warczał. Chcieli zaalarmować władzę, ale bali się. Rzecz naturalna. Drżeli przed zemstą, on zaś ścigał to wszystko do domu nie wiadomo w jakim celu.

Jak go przygarnęli, przybłądę, był małym kundelkiem, podobnym do kłębuszka, bawił się z dziećmi. Kto wiedział, że z niego wyrośnie taki buldog, wstrętna rasa?

Ktoś powie, że cała historia jest wymyślona. No, bez przesady. Może z psem było coś nie tak, ale reszta, reszta została dosłownie wzięta z życia.

Co zaś tyczy psa?... Stare przysłowie mówi, że jak się go chce uderzyć, to kij się zawsze znajdzie.

"ZAPŁUTE  
KAREY REAKCJI!"  
BYŁO!



"PRECZ Z KULTEM  
"JEDNOSTKI!"  
BYŁO!



"POMOŻECIE?"  
BYŁO!



"SIEY ANTYSOCJALISTYCZNE!"  
CO PRAWDA JESZCZE  
JEST, ALE MOŻNA  
POWIEDZIEĆ, ŻE  
BYŁO!



CHOLERA!



CO TY MADREGO  
WYMYŚLEĆ?



BOHDANOWICZ

# JOANNA KULMOWA

## BALLADA TROJANKI WESOŁEJ

Hej po łące po zielonej  
mój trojański koń puszczonej  
mój ognisty karogniady  
koń z Iliady.

I mieszkają w koniu moim  
Agamemnon Menelaos  
wodze króle i heroje  
w koniu moim.

Tam czekają dni i noce  
pobrzękując mieczkami  
Boże zmiłuj się nad nami  
krew popłynie.

A my tutaj nieulegli  
a my drożką samoswoją  
a my tutaj jakby Troja  
była Troją.

Jeszcze raz się okopie my  
damy strażę u wrót niemych  
a koniowi ziarna maku  
żeby pojadł.

Może uspi się Iliada  
może spląće się ballada  
i odwlecz się historia  
na rok dwa.

## SIEWCOM

Któregoś dnia wam się ziści:  
z nawozu nienawiści  
wykiełkuje krwideołogia.

Gdzieś kiedyś przed świtaniem  
od waszych czystych snów odstanie  
obmyje place rykiem radia  
hasłami przetrze ulic gardła  
szarpami flag obwiąże bramy.

i higienicznie odcedzi  
dobrych  
od rozstrzelanych.



## BALLADA O GARDEROBIE

Dostojne  
wyłożone jasno  
osobowością wiszą własną  
plaszcz księcia  
czapka generała  
jak dusze zbiegłe z ciała.

A o sto kroków dalej  
w krzesłach  
cielesność  
goła egzystencja  
co bez esencji pozostała.

Ten co miał mundurowy szynel  
tu czwartorzędnym jest cywilem  
na fiszkę zdał bohatera.  
A książę cóż!  
książęce blichtry  
zakłamywały przedmiot lichy  
co w podmiot się ubierał.

I patrzcie:  
wnet nadejdzie chwila  
że powędruje plaszcz na śmieci  
pozłótka z groźnej czapki zleci  
i roznicestwi się mantylla.

I patrzcie:  
już nijacy  
mali  
jak z misji z racji się rozdziali  
zdani na śmiech stuleci.

I patrzcie:  
nie.

Na gong ostatni  
z martwych powstają ciuchy szatni  
i w skok na kolki  
w lot na półki  
krój rangę rolę uwydatnić  
grać kwestie grać osoby.

By chłonąć mogły późne wnuki  
spuściznę  
garderoby.

## Światowe życie

ANNA  
LECHICKA

# NA OKRĄGŁO



Jeszcze na początku lat siedemdziesiątych moda nieźle prosperowała, choć już może nie wielka, ale za to masowa, popularna, schodząca do butików jako *prêt-à-porter*, coraz mniej ekskluzywna, wszelako wciąż obowiązująca, dyktująca, czuwająca. Był to okres rozkwitu butików, małych dziurek pełnych sukien nadających styl, świadczących o tym, co się nosi i jak się nosi. Dzis już zarówno wielkie domy mody jak i butiki przechodzą głęboki kryzys, pogrążają się w upadku. Oczywiście, kryzysowa sytuacja, rosnące ceny mają tu swój wpływ, ale nie tylko. Oto przyszła moda na nie-modę, wyzwolenie się z presji ogromnych grup ludzi zarabiających krocie na włożeniu kobiet w gorset konwensu zwanego wielką modą. Świętą zasadą było przestrzeganie tego, co obowiązuje kobietę elegancką, co zaprojektowali specjaliści, uszyli krawcy i sprzedawali handlowcy. Te trzy grupy w dodatku znajdowały się w układach z producentami materiałów, wszelakich nowości w tej dziedzinie i tak wspólnym wysiłkiem i wspólnym zarobkiem rodził się gigantyczny przemysł ubraniowy, wsparty o jedną modę na jeden sezon. Tymczasem kobiety z każdym rokiem zrzucają niecierpliwie z siebie jakieś więzy, jakieś przypisywane im tradycyjne upodobania i rygory, wreszcie postanowiły wyzwolić się z nudy jednej mody narzucanej przez dyktatorów (my byśmy powiedzieli: decydentów), wybrały różnorodność ubioru i fasonu, indywidualność gustów i fantazji. Ubieramy się tak, jak nam wygodnie, jak lubimy, w czym nam do twarzy i nie tylko do twarzy, bez narażania się na etykietkę osoby niemodnej czy staroswieckiej. Wybieracie styl staromodny? To świetnie, jesteście uroczy retro. Chcecie być supernowoczesne? Znakomicie, oto styl kosmos. Byłe nie zbiorowo, w mundurkach, niby gromadka kopii. Nastąpił więc dla handlu koniec klienta standardowego (zresztą daje się to odczuć i w innych dziedzinach).

Wolność ubioru łączy się z wolnością kształtu sylwetki. Panie chcą sobie pozwolić na zaokrąglone linie. Młnął bezpowrotnie styl krawetki lansowany przez kościstą i wygłodzoną (przymusowo) modelkę Twiggy. Idolem staje się raczej pulchna Andrea Ferreol bohaterka *Wielkiego Zarcia*. Magazyn dla pań „Elle”, po raz pierwszy od lat posłużył się modelami prezentowanymi przez okrągłą i tłusciutką Rosemary, dziś najlepiej zarabiającą modelkę na świecie. Nie ukrywa ona swych okrągłości i nie przejmie się, kiedy jej jeansy napięte są do granic niemal pęknięcia... Mam się głodzić? – czytamy w jej roześmianych oczach. Mam sobie wszystkiego odmawiać? Niedoczekanie!

Słynna „walka o kilogramy” propagowana dwa lata temu przez „L'Express” znacznie osłabła. Dziewczyny odkryły urok małych lokalików, gdzie popija się porto czy aperitif, pojada ciasteczka czy inne zakazane drobiazgi, te słynne międzyposiłkowe danki, przed którymi ostrzegają wszystkie cud diety. Nie ma dziś norm – oświadcza redaktorka działu mody. Tak dla linii, jak dla mody. Wielkim buntom powiało od magazynów z ubiorami po zakłady fryzjerskie. Ubieramy się luzno i wygodnie, czesemy się jak chcemy, jak nam się podoba. Koniec z mękami aktualnej mody. No a wszystkie, jakże liczne panie przy kości mają nareszcie w co się ubrać. Masowa produkcja zaczęła je

brać pod uwagę. „Nareszcie mogę mieć biodra, biust, mogę być sobą i też mieć przyjemność z ubierania się” – zwierają się klientki. Czytelniczki magazynów mody już nie szukają u redaktorek informacji co będzie uniformem na rok bieżący. W wielkich magazynach style mieszają się, nikt już nie ubiera się inaczej na każdą okazję: do pracy, do teatru, na wizytę. Wybieramy sobie własny styl dla własnej przyjemności i wygody. Z tym, że o ile w latach siedemdziesiątych panowała moda „unisex”, co związane było z ruchami feministycznymi, dziś kobiety raczej podkreślają swoją płęć, to je właśnie zbliża do „okrągłej” kobiety lat osiemdziesiątych, unikającej „chłopcowatości” z okresu barykady feminizmu. Czuć się wygodnie we własnej skorze, oto hasło dnia. Niektórzy publicyści zwracają uwagę, że ta moda odbija się na modelach samochodów. Stają się one coraz okrągłsze, pełniejsze, gruszkowate... Również kolory są tu coraz łagodniejsze, pastelowe, samochód przejmie styl nowej kobiety...

Także w USA paniom zdecydowanie nudziły się diety i odchudzanie. Z pewnością wpływa na to siedzący tryb życia kobiet pracujących oraz stałe posługiwanie się samochodem, nie bez wpływu jest coraz większa łatwość sprzątania przy pomocy wielkiej ilości maszyn pomocniczych wykonujących za kobietę prace domowe. Otwiera się specjalne butiki o nazwach aluzyjnych, np. *Kobieta zapomniana*, z modelkami powyżej 50, który do tej pory był wyklęty. Pojawił się też nowy szlagier z reżenem: *Jestem gruba, ale jestem piękna*.

Kryzys butików z masową odzieżą spowodował rozkwit butików z artykułami kosmetycznymi. Rzecz by można: zmarło *prêt-à-porter*, niech żyje *prêt-à-sentir*! Panie odbywające swój spacer wstępują jeszcze z przyzwyczajenia do butiku, by przymierzyć suknię, szybko jednak konstatują, że jest ona o wiele za droga. Kierują się wtedy do butiku kosmetycznego, by zakupić najnowsze pachnidło o różnorodnym przeznaczeniu. 85 rodzajów mydełek toaletowych, coraz nowe zapachy wód toaletowych, perfum, esencji, kremów, pachnących galaretek, soli kąpielowych, wszystko to zapowiada wskrzeszenie mitu słynnej Poppei w kąpeli. Nowe perfumy, o pięknym wystroju wnętrza, świecą triumfy i stają się miejscem spotkań. Tworzą one model kobiety ubranej skromnie, ale pięknie pachnącej. Panowie nie wydają się być z tego niezadowoleni.



# RAY BRADBURY ZAGRAJMY W OTRUTEGO

– Nie chcemy ciebie! – krzyczała gromadka szesnaściora chłopców i dziewcząt, ze zgłębieniem i z przepychaniem się zacieśniając krąg wokół Michała. Ten darł się przeraźliwie. Było już po przerwie, lecz nauczyciel, pan Howard, nie zjawiał się jeszcze w pełnej dzieciaków klasie.

– Nie chcemy ciebie – i cała szesnaстка, coraz bardziej napierając na chłopca, popychała go w stronę okna. Trzy piętra w dół. Michał bronił się rozpaczliwie, okładając ich pięściami.

Wspólnie chwycili go mocno i wypchnęli za okno.

W tej samej chwili pan Howard stanął na progu klasy. Zdażył tylko wykrzyknąć: – Stójcie!

Michał wypadł z trzeciego piętra. Michał zmarł.

Cóż było począć z tą sprawą? Policja umyła ręce. Te dzieci nie miały więcej, jak po osiem czy dziewięć lat, nie były świadome, co czynią. I tyle.

Dnia następnego pan Howard się zalał. Oświadczył, iż na zawsze porzuca nauczanie.

Wyniósł się z Madison City. Osiedlił się w Green Bay, niewielkim miasteczku opodal, i spędził w nim siedem lat, zarabiając na życie pisaniem opowiadań i wierszy.

Nie ożenił się. Nieliczne z kobiet, do których się zbliżał, zawsze pragnęły mieć – dzieci.

Jesienią siódmego roku tego dobrowolnego wygnania zdarzyło się jednak, iż zachorował jego serdeczny przyjaciel, podobnie jak i on sam – nauczyciel. Z braku innego zastępcy poczęto nalegać na pana Howarda, perswadując mu, iż jego powinnością jest przejąć klasę przyjaciela. Ponieważ nie miało to potrwać dłużej aniżeli kilka tygodni, pan Howard, choć bardzo z tego powodu nieszczyśliwy, ustąpił w końcu i wyraził zgodę.

★

– Czasami – zaczął mówić, powoli przekraczając próg klasy w ów pierwszy poniedziałkowy poranek we wrześniu – czasami wierzę w święcie, iż dzieci, to są najeźdźcy z jakiegoś innego wymiaru.

– Czasami – ciągnął dalej – spoglądając to na Williama Arnolda, to na Russela Newella, to na Donalda Bowersa, to na Charliego Hencoopa – czasami zdaje mi się, że dzieci, to małe potwory, które diabeł wyrzucił z piekła, gdyż nie mógł już dłużej z nimi wytrzymać. I wierzę też święcie, iż usprawiedliwione będą wszelkie środki po temu, by przypilnować im różki.

Słowa te pobrzmiwały niejasno w umyśle i nieumyśle uszach Arnolda, Newella, Bowersa i spółki. Lecz ton ich napawał lękiem. Dziewczynki przycupnęły w ławkach, kryjąc swe myślenie ogonki, za które pan Howard pociągał raz po raz jak gdyby za sznury dzwoneczków wzywających anioły ciemności do kapitulacji. Klasa wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana.

– Jeśli wziąć pod uwagę motywy waszego postępowania, wasze przekonania, nawet rzeczy, przeciw którym się buntujecie – należycie do całkiem innej rasy. Wy nie jesteście ludźmi. Jesteście – dziećmi. I z tego to powodu, dopóki nie dorosniecie, nie macie prawa domagać się żadnych przywilejów, ani też kłócić się ze starszymi o to, kto mądrzejszy.

Znów przerwał i usiadł na krześle przed nienagannie czystym, bez pyłku kurzu stołem.

– Życie w świecie własnej fantazji – podjął znów swą przemowę, robiąc przy tym groźną minę. – Otóż tutaj się kończy wszelka fantazja. Wkrótce się przekonacie, że silna ręka nad wami to nie sen, nie jakieś bajkowe strachy z opowiadań o Piotrusiu Panie. – Chrząknął. – No, nastraszyłem was? Nastraszyłem! To dobrze. To nawet bardzo dobrze. Zasluguje sobie na to. Chcę, abyście znali naszą wzajemną pozycję. Ja was się nie boję, zapamiętajcie to sobie dobrze. Ja was się nie boję.

– Hej tam! – skierował nagle swój wzrok w głąb klasy. – Co tam za szepty z tyłu? Zajmujecie się nekromancją, czy co?

Mała dziewczynka podniosła rękę: – Proszę pana, co to jest nekromancja?

– Pomówimy o tym, gdy twoi młodzi przyjaciele, pan Arnold i pan Bowers zechcą nam wyjaśnić, o czym tak przed chwilą szeptał. No więc, młodzi ludzie?

Donald Bowers podniósł się z ławki:

– Nie lubimy pana. Tylko to mówiliśmy. – I usiadł z powrotem na miejsce.

Pan Howard uniósł brwi:

– Cenię sobie szczerść i prawdziwość. Wdzięczny ci jestem za uczciwe postawienie sprawy. Lecz jednocześnie nie mam zamiaru tolerować takiego jawnego buntu. Za karę zostaniecie dziś godzinę po lekcjach i umyjecie ławki.

★

Po lekcjach, wracając do domu ulicą pełną liści jesiennych, spadających wokół niego na ziemię, pan Howard natknął się niespodziewanie na czwórkę swoich uczniów. Ostro zastukał łaską o trotuar.

– A wy co tutaj robicie?

Czwórka dzieciaków, dwóch chłopców i dwie dziewczynki, poderwała się spłoszona, jak gdyby trzepnął ich łaską po grzbietach.

– Och!

– No więc – powtórzył pytanie – może mi wyjaśnić? Co tutaj robiliście, kiedy ja nadszedłem?

William Arnold odezwał się:

– Grałismy w otrutego.

– W otrutego?! – Twarz nauczyciela wykrzywiła się w grymasie. – Otruły, otruty – powtórzył z lekkim sarkazmem – grałiscie w otrutego. No dobrze. A jak to się gra w otrutego?

William Arnold zaczął się wycofywać z pewnym ociąganiem.

– Wracaj tu! – krzyknął pan Howard.

– Ale ja właśnie chcę panu pokazać – zawołał chłopiec, skacząc przez cementową płytę chodnika – jak się w to gra. Kiedy znajdziemy umarłego człowieka, przeskakujemy nad nim.

– Przeskakujcie, powiadasz, hm, więc to tak?

– Bo jeśli pan skoczy na grób umarłego człowieka, to będzie pan otruty, i wpadnie tam, i umrze – wyjaśniła Izabela Skelton radosnym głosem.

– Umarli, groby, otruci – rzekł ironicznie pan Howard. – Skąd wam to wszystko przyszło do głowy?

– Widzi pan? – powiedziała Klara Parris wskazując książką do arytmetyki – na



też plying są napisane nazwiska dwóch umarłych ludzi.

– Co za pomysły – zachnął się pan Howard. – To są po prostu nazwiska przedsiębiorców, którzy układali ten chodnik.

Izabela i Klara, niezmiennie wzburzone, wbiły w chłopców oskarżycielskie spojrzenia.

– A wyście mówili, że to są groby! – zawołały prawie jednym głosem.

William Arnold gapił się w ziemię.

– Taa... No bo są. Tak jakby są. – Podniósł głowę. – No to ja już sobie pójdę do domu. Już późno. Na razie.

Klara Parris wpatrywała się w dwa nazwiska wyryte na plying chodnika.

– Pan Kelly i pan Terrill – przeczytała. – Więc to nie są ich groby? Pan Kelly i pan Terrill nie są tu pochowani? A widzisz, Izabelo, a mówiłam, sto razy ci mówiłam.

– Nic nie mówiłaś! – burknęła Izabela.

– Wydumane łgarstwa! – pan Howard stukał łaską rozgniewany. – Mistyfikacja największego kalibru! Dobry Boże! Panie Arnold, panie Bowers, koniec z tym, zrozumiano?

– Tak, proszę pana – wybąkali chłopcy.

– Głośniej!

– Tak, proszę pana – powtórzyli raz jeszcze.

Pan Howard szybkim krokiem pomaszerował ulicą. William Arnold odczekał, aż zniknie z pola widzenia, a potem rzekł krótko:

– Żeby mu wróbel narobił na nos!

– Chodź Klaro, pograjmy w otrutego....

– poprosiła Izabela z nadzieją w głosie.

Klara wydeła wargi.

– Wszystko popsute. Idę do domu.

– Jestem otruty! – krzyknął Ronald Bowers, padając na ziemię i charcząc zabawnie. – Popatrz, jestem otruty! Gahhh!

– E, tam! – krzyknęła Klara ze złością i pobiegła.

★

W sobotę rano pan Howard wyrzwał przez okno frontowe i z ust musiał wyrwać przekleństwo, zobaczył bowiem Izabelę Skelton, jak kreśliła kredą znaki na chodniku przed jego domem, następnie zaś, skończywszy, poczęła skakać wokół nich na jednej nodze, mrużąc coś przy tym monotonnym głosem.

Pędem wyskoczył z domu i rzucił się na nią tak gwałtownie, iż omal jej nie przewrócił. Mocno chwycił dziewczynkę i potrząsał nią z całej siły. Puściwszy wreszcie, pochylił się nad nią i nad narysowanymi kredą znakami.

– Ja się tylko bawiłam w klasy – pochlipowała mała, trzymając piąstkę przy ęcach.

– Nic mnie to nie obchodzi, tutaj się bawić nie wolno – oświadczył. Pochylony, ścierał kredowe znaki chusteczką, pomrukując pod nosem:

– Mała wiedźma. Pentagramy, rymy, zaklęcia, a wszystko niby takie niewinne, mój Boże, jeszcze jak niewinne! Ty mały demonie! – Izabela uciekła, zanosząc się od płaczu. – Będą musieli wymyślić coś innego. Nie podejść mnie, nie usidlać, o nie!

Sztynnym krokiem zawrócił do domu, nalał sobie porządną szklankę brandy i wychylił do dna. Przez resztę dnia wsłuchiwał się w głosy dzieci grających w ciuciubabkę, w berka, w chowanego, bawiących się piłkami, bąkami, skakankami, zaś dźwięki wydawane przez te małe monstra kryjące się za każdym krzakiem



„PUNCH”

i w każdym zacięciu nie dawały mu chwili wytchnienia.

– Jeszcze jeden taki tydzień, jak ten – pomyślał – a padnę tu sztywny i błądy. – Przyłożył rękę do obolałej głowy. – Mój dobry Boże, czemuż to nie przychodzimy na ten świat dorośli?

★

Nastął drugi tydzień. I szybko wzrastała nienawiść pomiędzy panem Howardem a dziećmi. Nienawiść i lęk. Nerwowość, nagle wybuchy gniewu bez powodu, po nich momenty wyczekiwania, gdy dzieci, wspinając się na drzewa, by kraść ostatnie jabłka, spoglądały nań z wysokości galezi.

– Nie ruszaj mnie, nie osmiela się – powtarzał sobie pan Howard, opróżniając jedną szklankę brandy za drugą. – To wszystko jest takie głupie, nie ma co o tym myśleć. Wkrótce będę daleko stąd – i daleko od nich. Już wkrótce...

Za oknem pojawiła się biała ludzka czaszka.

Czwartek, ósma wieczorem. Ten tydzień włókł się niemiłosiernie, pełen pretensji i złości. Wciąż trzeba było odganiać dzieci od wykopu pod rurę wodociągową przed domem. Dzieciaki wprost uwielbiały takie wykopy, kryjówki, kanały, rowy i roito się od nich, gdziekolwiek coś kopano lub wymieniano rury. Dzięki Bogu, że już skończyli, i że jutro zasypią wykop, kładąc tu nowy, cementowy chodnik, będzie trochę spokoju. Lecz tymczasem...

Zza okna spoglądała nań biała ludzka czaszka!

Poruszana niewątpliwie jakąś chłopięcą ręką postukiwała o szybę. Z zewnątrz dobiegał dziecięcy chichot.

Pan Howard wyleciał z domu jak strzala.

– Hej, wy! – huknął gromkim głosem w kierunku trzech cieni zmykających

chłopców. Popędził za nimi z krzykiem. Na ulicy panowały ciemności, lecz widział wciąż przed sobą oddalające się sylwetki. W pewnej chwili wydało mu się, iż one przez coś przeskakują, lecz zanim zdążył sobie sprawę z powodu, dla którego to czynią, już było za późno.

Ziemia rozwarła mu się pod nogami i wpadł do wykopanego rowu, uderzając potężnie głową o leżącą tam rurę wodociągową. A kiedy tracił świadomość, miał wrażenie, jak gdyby runęła nań lawina zimnych, wilgotnych grudek błota.

★

Sąsiadka, która przyniosła rano zawiąniętą w serwetkę jajka, stuknęła do drzwi z pięć minut. Kiedy wreszcie otworzyła je sama i weszła do środka, ujrzała tylko pyłki kurzu tańczące w smugach słonecznego światła.

– Cuda i dziwy – rzekła, i słowa te powtarzała potem przez wiele następnych lat – co też się mogło stać z panem Howardem?

A dorośli, jak to dorośli, niczego jak zwykle nie dostrzegając, nie zwracali uwagi na dzieci grające każdej jesieni w otrutego na Oak Bay Street. Nawet gdy dzieci zabawiały się skakaniem przez pewną szczególną płytę cementu. Co najwyżej ktoś czasem odwrócił głowę, by przeczytać wyryte na niej litery: pan Howard – R.I.P.

– Kto to pan Howard, Billy?

– A, to chyba taki, co tu układał ten chodnik.

– A co to znaczy: R.I.P.?

– E, tam, kto by to wiedział. Jesteś otruta! Staneł na tym!

– Uważajcie, uważajcie! Nie wolno na deptać na ślady mamusi!

przełożył:

TADEUSZ SZYŁŁEJKO



# SZOŁBIZNES

pod redakcją Starszego Wykonawcy



## KRZYSZTOF SALATA BORSUCZA

Pierwszego dnia w bramie ulicy Borsuczej, obok reklamy szewca, pojawił się szyld „Dorabiamy Ideologię do sznurowania butów. Przedsiębiorstwo państwowe”.

Drugiego dnia ruszyła prywatna inicjatywa: „Uśmiech na co dzień plastrem na rozdwojenie bytu”. „Nie śmiać się z dozorczy” – dopisał wieczorem stróż.

Trzeciego dnia, już trzeciego dnia, w przeciągu bramy łopotąło hasło: „Odpowiadam na pytania zasadnicze w oparciu o klasyków. Student AWF”. Czwartego i piątego dnia pojawiały się nowe napisy, tak, że zginęła pośród nich tabliczka z nazwą ulicy i młodszy mieszkańcy nie znali swego prawdziwego adresu; starsi sądzili, że Wilcza, średni, że Mysia, choć wczoraj byli zgodni i myśleli, że Pajęcza. A napisy powstawały nieprzerwanie. Zaczęła się konkurencja. „Na sto procent pytań sto trzydzieści odpowiedzi”. „Uśmiech na co dzień poloplastrem na niedopowiedzenia”.

Szóstego dnia ktoś napisał na reklamie Klubu Niedomówień: „Potrzeba mi nowych słów. Zapomnę myśleć”. Siódmym dniem była niedziela.

Mówią, że zamknięto bramę.

Mówią, że na skutek donosu, który napisał zagrożony bankructwem szewc. Mówią, że dom przeznaczono do rozbórki.

Nie mówią, że nie byli na Borsuczej od szóstego dnia.

Mierzą ich nawet ich własne bramy, których cichcem dorobili się pewnego ósmego dnia. Od pewnego ósmego dnia czekają z nadzieją na dzień następny.

Na pierwszy dzień.

## ZNÓW DOBRZE O „BĄBLU”

Nasz tradycyjny faworyt z lidzbarskich Biesiad wystartował w Warszawie już jako zupełnie dorosły kabaret. Ze stemplem studenckości jeszcze, ale to przecież tryb normalny, namaszczony legendą Bim-Bomów i Hybryd. Bąbel wziął we władanie Piwnicę Politechniki, która mieści się na... I piętrze domku przy ul. Koszykowej 80. Tłok na występach potworny, bo i są powody...

Dawny Bąbel był refleksyjny, dzisiejszy sięga po satyrę polityczną. To wymóg czasów, a może i potrzeba ducha. Jerzy Klesyk i Krzysztof Salata dokumentują tu swój aktywny stosunek do aktualnych meandrow polityki kadrowej, do konfliktów, afer i plot. Może mniej mają tu do powiedzenia niżli ich dorośli koledzy z pism codziennych, ale wtórują im z temperamentem. Najbardziej autentyczni są przecież w tym, w czym i dawniej: w lirycznej, a chwilami i patetycznej refleksji nad naszym czasem, kiedy to „łatwiej mieć, niżli być”...

Dawny Bąbel wzbogacił się o trójkę nowych wykonawców. Spektakl w Piwnicy nie wywianowany był jeszcze w papierkowe zaplecze, stąd nie znam nazwisk

młodych artystów. Z nich zwłaszcza solistka z wielką sugestywnością interpretująca balladę o balu (Marta Dobosz?) zasługuje na uwagę. Ma piękną niską barwę głosu, umie też nim władać... Najlepsi są oczywiście, stale obaj protagoniści. Klesyk z żartobliwym spokojem demonstruje gagi, których się poduczył u Łapickiego. Salata ujmuje swobodą obycia scenicznego, autentyzmem tonu.

Spektakl w Piwnicy trwa ponad półtorej godziny. W tym kwadrans braw. Zbierają je Klesyk z Salata w pierwszym rzędzie za swe teksty polityczne. To zrozumiałe. Wymóg czasów kształtuje przecież i widownię. Ale chciałbym tu wymienić także arcyzabawny utwór o „starszych panach co mają stosunek (raz w miesiącu)”. W widowisku pełni on funkcję przerywnika humorystycznego. Daje przecież wyobrażenie o skali satyrycznej obserwacji autorów, a i o ich warsztacie rymotwórczym. Dwaj młodzi poeci z Bąbla to już zawodowcy. A jeszcze tak niedawno zjechali do Lidzbarka w krótkich majtkach. Boże! Jak ten czas leci...

WITOLD FILLER



ANDRZEJ CZYCYŁO

## ŻYCIE UMYŚLOWE

Tęgo lata można będzie przysłać kartkę z wczasów. Na cukier, masło, mięso, wędliny...

★

Dlaczego Edward Gierek nie przyszedł na plenum KW w Katowicach? Wido- cznie woli, żeby po niego przyszedł...

★

Z rozmowy z Janem Ku- lajem: Dom Chłopa został wybudowany z pieniędzy chłopów i do nich musi wrócić. Nie będzie też w nim pysznych gabinetów dla dygnitarzy związko- wych... Żeby chłopci mieli być gospodarzami Domu Chłopa! Świat się kończy. Przynajmniej, ten, który stworzyli poprzebierani za rolników działacze ZSL.

★

Dopiero teraz FJN w Bie- lsku wystąpił o pozbawie- nie mandatów posłów - Buzińskiego i Dziopaka... Zawsze wiedzieliśmy, że materiały bielskie są nie- zwykłe trwałe.

★

Znane są już okolicznoś- ci (do tej pory nie znane bli- żej), w jakich to w Zakopa- nem zniknął pomnik gen. Sikorskiego. Po prostu od- było się to na życzenie władz. Szanowni decyden-

ci mają zapewne w zana- drzu argument, iż w minio- nym sezonie politycznym zniknęły u nas nie tylko pomniki.

★

Trwa akcja zwiedzania obiektów pałacowych, do tej pory dostępnych jedy- nie dla przedstawicieli sfer. Proponujemy rozsze- rzenie akcji o dobra pry- watne byłych prominen- tów. Zwiedzanie winno obejmować oprócz obiek- tów - Wydziały Finansowe, gdzie przedstawiano by ra- chunki, ile to kosztowało. W roli oprowadzaczy widzi- my inspektorów NIK-u.

★

Wniosek Stefana Brat- kowskiego: Wprowadźmy zasadę, że za każdym pa- pierem i każdą decyzją, która nie ma być tylko de- cyzją na papierze, musi stać żywy człowiek z na- zwiskiem. Czyli - z twarzą... Nazwiska od biedy się znajdują, ale z tym drugim mogą być kłopoty. Dziś łat- wiej o staż niż o twarz.

★

Cytowaliśmy niedawno fragment ciekawego wspomnienia Zbigniewa Loretha o tym, jak powsta- wała Huła Katowice. Na ta- mach „Życia Warszawy” odezwał się jeden z inicja- torów tego projektu - Ry- szard Trzcionka. Przyta- czamy jego słowa, bo war- to: ...Polak, który potrafił zawsze powiedzieć - „NIE” - będę wspomagał nigdy Polski socjalistycz- nej, to właśnie był Zbi-

gniew Loreth. Moja osoba jest dumna z tego, że dane jej było w swym twardym życiu tworzyć od koncepcji do rozruchu Hułę „Katowi- ce”... Nasza osoba jest je- szcze dumniejsza, iż w de- mokratycznym krajobrazie przetrwały takie okazy sprzed potopu sukcesów jak p. Trzcionka.

■

W „Tygodniku Solidar- ność” ukazała się przepro- wadzona przez Barbarę Łopieńską rozmowa z cen- zorem, posługującym się w latach zawodowej świet- ności numerem K-62... Z wynurzeń rycerza czer- wonego ołówka wynika, iż był to lepszy numer.

★

W Mińsku Mazowieckim w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego poja- wił się Babiuch. Samokry- tykował się i prosił, by zo- stawiono go w zakładowej POP. Zostawiono. Jest to słuszne: Babiuch przezna- czony jest do naprawy.

Dlatego odstawiono go na boczny tor.

★

Tytuł z „Expressu”: Dy- rektor Zjednoczenia Prze- mysłu Tytoniowego radzi ograniczyć palenie... Jeśli inni dyrektorzy pójdą za przykładem swego kolegi i zwrócą się z apelem o ograniczenie jedzenia, picia, kapania się, prania itd. etaty dyrektorskie naj- lepiej będzie obsadzać karnodziejami kościoła baptyistów, skoro sprawy

produkcji i planu zeszy- jakby na plan dalszy.

★

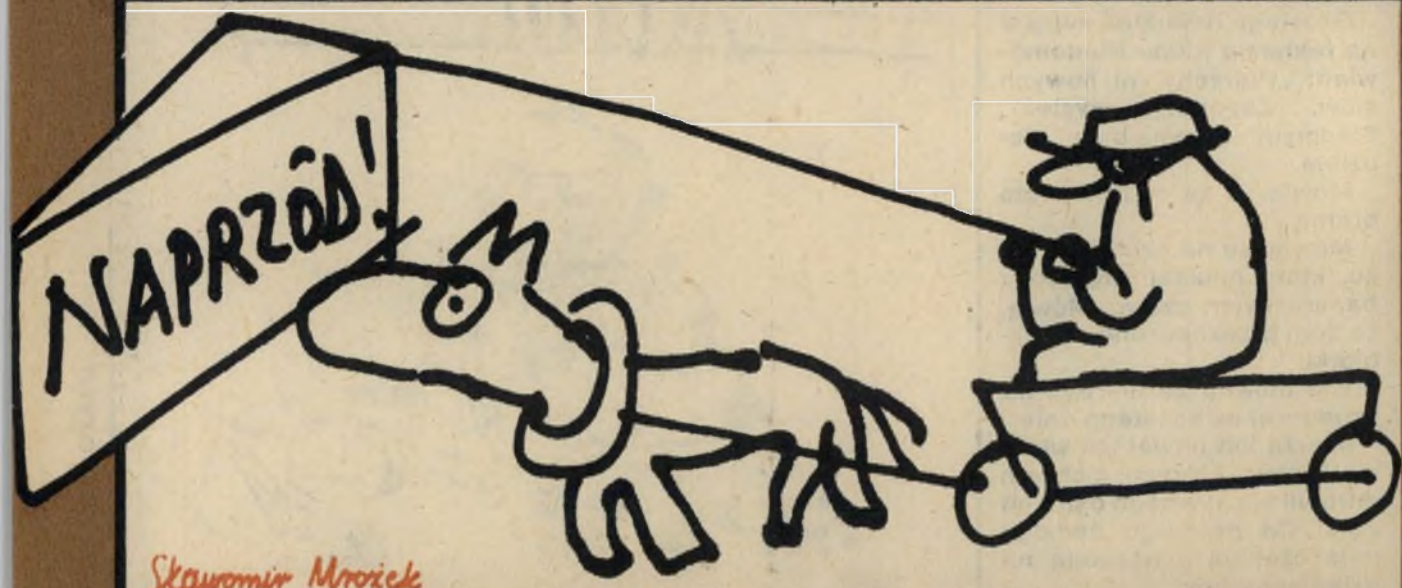
Odbędzie się forum SDP na temat bezrobocia. Najsla- biej przygotowali się do dyskusji przedstawiciele Ministerstwa Pracy i Plac... No cóż: im bezrobocie nie grozi. A gdyby nawet - zdążą odwiec tę kłeskę. W dziedzinie odwiekiania i przewiekiania Ministe- rstwo Bardzo Wolnych Sobót ma spore doświadczenie.

★

W kwietniowej „Poezji” (poświęconej tak aktual- nym tematom jak parafra- za i podróż) Zastępca pi- sze: Parafraza karmi się mową zadłużoną... Chole- ra, żeby nam tylko Drozdow- ski wynegocjował zwłokę w płatnościach!

## RUBRYKA ZMIAN PERSO- NALNYCH

Wielu osobistoś- ciom z pierwszych stron gazet trudno będzie w tym roku wybrać się na - Wczasy w siodle...



Skawomir Mroczek



MIECZYSLAW WEJMAN  
– prof. ASP w Krakowie

## ŻYCIE POZA-GROBOWE

Huta Warszawa wymówiła lokal „Grunwaldowi”. Widocznie siły rozsądku doszły do wniosku, iż Huta Warszawa zanieczyszcza środowisko i bez tego stwarzania przyjaźni reż. Poręby.

Trwa ucieczka widzów z teatru... W Teatrze Małym zatrzymuje ich p. Kucówna grająca Annę Walentynowicz. Czekamy, kiedy Hanuszkiwicz zagra Walęsę.

## ŻYCIE FILMOWE

### WESOŁO AŻ STRACH

MIS, film polski, reż. St. Bareja

Stanisław Bareja uparł się, że będzie rozśmieszać widzów i robi to konsekwentnie, mimo grymasów krytyki. Istotnie, nie jest to może najwyższy poziom sztuki filmowej, a przecież te farsy satyryczne odbijają w jakiś sposób paranoiczne szaleństwo niektórych aspektów naszego życia codziennego, zwłaszcza w ubiegłym okresie. Trochę się tu akcja nie klei, ale – jak to u Barei – otrzymujemy całą serię obrazków satyrycznych, chwilami szalenie śmiesznych. I za ten śmiech widzów – coraz rzadszy na salach kinowych – należy się Barei przecież uznanie.

A. LECHICKA

W latach niełaski prof. Janusza Groszkowskiego zaniechano prac nad ideą profesora – konstrukcją maszyny do szybkiego pisania... Taka maszyna nie była potrzebna. Pupile Łukasze-wicza pisali szybciej niż myśl.

Janusz Maciejewski o Norwidzie: Nigdy nie uważał się za kogoś wyższego od innych, za wieszczą czy nadczłowieka. Był skromny i – wbrew temu, co sądził o nim Lenartowicz – pełen swoistej pokory... Nam wieszczów dyżurnych kreowała telewizja. Z tym, że „pełni swoistej pokory” mieli być telewizorzy. I byli takimi, aż Sandauer otworzył im oczy, ukazując pustkę ulepionych z papierowej mazi kukieł.

Ukazała się książka Stanisława Grabowskiego – *Henryk Walezy* (Ossolineum)... Dla tego władcy winniśmy żywić wdzięczność: wrócił do Francji z nim zdołał zrujnować Polskę.

Kartka z historii donosów – pisze Jerzy Putrament: „Bo ten A.A. w „Życiu Warszawy” uprawia zapomniany już trochę styl donosów „Po prostu”. Atakuje się kogoś i zarazem się udaje, że się bardzo boi władzy... Wiele zmieniło się nad Wisłą od czasów Galla Anonima. Także w dziedzinie donosów. Dobrze więc, że Putrament odwołał się do pokładów swojej pamięci. Doświadczenie winno być stale weryfikowane przez wiedzę.

SMUTANKA  
wiadomości towarzyskie



### KOROTYŃSKI: „PRZYSŁANY PRZEZ ZWIĄZEK LITERATÓW SAMOCHÓD UTKNAŁ W BŁOCIE”

Ujawniając okoliczności nieobecności Marii Dąbrowskiej na spotkaniu Józefa Cyrankiewicza z literatami i naukowcami w związku z „Listem 34” Henryk Korotyński stwierdził: „Przysłany przez Związek Literatów samochód, którym miała jechać utknął w błocie”. Jest wiele zarówno faktów jak i wydarzeń oraz opinii.

### ROSA-KRZYŻANOWSKA: „KIEDYŚ POMOGLAM ZELWEROWICZOWI”

„Kiedyś pomogłam Zelwerowiczowi, już ciężko choremu, wejść na schody. Dowiedziawszy się, że dorabiam do stypendium jako lektorka – ucieszył się”. Poinformowała czytelników Maria Rosa-Krzyżanowska. Jest o konsekwencjach.

### HOLLAND PRZYZNAŁA SIĘ DO MĄDROŚCI

„Uznaję się za jedną z mądrzejszych kobiet spośród tych, jakie znam” – oświadczyła Markowi Oramusowi Agnieszka Holland. Nazwiska nie padają.

### KRASICKI WYMIENIŁ UPRZEJMOŚCI Z HENEM

Maciej Krasicki wymienił w liście do redakcji uprzejmości z Józefem Henem. W atmosferze szczerości nie obeszło się bez przymiotników.

### ŁUKASZEWICZ O KOLEJKACH

„Telewizja i kolejki przed sklepami skutecznie zastępują ludziom teatr” – oświadczył Stefanowi Drabarkowi Olgierd Łukasiewicz. Szczegółów nie potrzeba.

### ERWIN PODKOCHIWAŁ SIĘ W LENIE

„Z Leną sprawa była inna” – poinformował czytelników Erwin Axer. Po pierwsze podkochałem się w niej skrycie i napisałem potajemnie wiersz na jej cześć za lwowskich czasów”. Jest potwierdzenie faktu ratowania przebiegniętych stóp Leny, w Sławku.

### BUDREWICZ OCENIŁ SKIERNIEWICE

„Dublin zaprezentował mi się po Londynie jak Skierniewice po Paryżu” – doniósł z zagranicy Olgierd Budrewicz. Jest jeszcze jedno porównanie, dotyczące dwóch popularnych warszawskich ulic, w okresie przedwojennym.

### TYSZKIEWICZ: „NIE BARDZO TELEWIZJĘ LUBIŁAM”

„Nie bardzo telewizję lubiłam” – powiedziała Tadeuszowi Przeździeckiemu Beata Tyszkiewicz i dodała: „Zachwyciłam się nią ostatnio, a może to warunki w filmie stały się trudniejsze, właściwie wprost nie do zniesienia”. Szczegółów brak.

redaktor prowadzący: TUSIAK

## WSPÓŁCZUCIE DLA PROMINENTÓW

Prominenci nie mają lekkiego życia, wystarczy poczytać prasę wygarniającą im sprawy, o których się filozofom (marksistowskim) nie śniło. Nie mogą się bronić, bo nie wpadli na pomysł, żeby założyć Niezależny Samorządny Związek Byłych Prominentów, leją więc ich jak w kaczki kuper.

Ponieważ jednak emocji trzeba stwierdzić obiektywnie, że b. prominentom powodzi się nie najlepiej, przeżywają ciężkie stresy i właściwie należy im współczuć. Weźmy dla przykładu sprawę zaopatrzenia w przetwory mięsne. Normalny człowiek idzie do sklepu, wybrzydza, ten kawałek mięska mu nie odpowiada, szyneczka jakby za tłusta, droczy się z personelem i wreszcie ma co chce. Tymczasem prominent dzwoni gdzie trzeba (hej, a gdzie trzeba, to może i my byśmy zadzwonili od czasu do czasu) i przywożą mu do domu, pozabawiając przy tym prawa wyboru, różne asortymenty, ochłapy chyba jakieś.

Ostatnio usłyszeliśmy o praktykach Narodowego Banku Polskiego w stosunku do prominentów. Zaciągali oni mianowicie pożyczki na nadzwyczaj dogodnych warunkach, przy oprocentowaniu 2 proc. rocznie. Zwykły patalach płaci w takim przypadku odsetki przekraczające bodaj 10 proc. Zresztą taki szary obywatel nigdy nie dostałby pożyczki sięgającej paru milionów, a takie podobno były przyznawane.

I znów w naszych wrażliwych sercach rodzi się współczucie dla prominentów. Jeśli bowiem ktoś wziął powiedzmy 5 milionów to jaką szarpaninę musiał przeżywać zdając sobie przecież sprawę, że z przyczyn obiektywnych – powołanie w zaświaty, ciężka choroba itp. – może nie zdążyć spłacić. Chyba że równocześnie z pożyczką załatwiono im przedłużenie życia.

Mamy prośbę do dyrekcji Narodowego Banku Polskiego (lub PKO, ale to podlega placówka) o potwierdzenie lub zdementowanie wiadomości o tych wysokich pożyczkach i niskich procentach, jeśli to możliwe to z listą imienną. Rzecz w tym, że potrzebujemy pożyczyc stówę do pierwszego, a nikt nam już nie chce zawierzyć. Może by więc któryś z prominentów... Prosimy dyrekcję NBP, aby ze zrozumiałych względów potraktowała sprawę jako pilną.

Nagrodę tygodnia (zł 200) w naszym nieustającym konkursie „Uczymy się patrzeć satyrycznie” otrzymuje p. K. R. za nadesłany „donos”.

**Z**akłady Przemysłu Tytoniowego w Krakowie wyprodukowały ostatnio w pocie czoła serię „Zelirów” w opakowaniu i cenie „Carmenów” – prawie 100 proc. czystego zysku. Dawniej byłaby to zwykła granda, dziś trzeba raczej powiedzieć, że wszystkie chwytły są dobre, żeby tych przebrzydłych palaczy odzwyczaić od dezorganizacji rynku tytoniowego.

**Z**apartym tchem czytaliśmy notatkę w „Expressie Wieczornym” (nr 83) pt. „Dziecko pana kierownika wiozł do przedszkola 10-tonowy „Kamaz”. Ostatnie zdanie brzmiało: „Ten jeden kurs kosztował „Transbud” 5 tys. zł grzywny”. Otarliśmy pot z czoła, bo już myśleliśmy, że grzywnę tę zapłacił z własnej kieszeni troskliwy tatuś kierownik.

**I**mportowana mietłowa pasta do zębów ma na opakowaniu napis, który w tłumaczeniu z polskiego na nasze głosi, że produkt „posiada wyższe wartości smakowe”. Przyda się na kanapki w tych ciężkich czasach.

**B**udujące się nowe osiedle Jaroty w Olsztynie ma zaopatrywać w ciepłą wodę elektrociepłownia Kortowo. Już teraz jednak okazuje się, że przekrój rur jest za mały, trzeba więc rurociąg wymienić na pojemniejszy lub zbudować jego drugą nitkę. Zarówno

## POLECAMY HUMOR I SATYRĘ Z GAZET ZAKŁADOWYCH



## PWK PRZEGLĄD WIADOMOŚCI KRAJOWYCH

sekretarzem Ambasadury PRL w Sztokholmie.

★ ★ ★

W czasie pobytu papieża w Nowym Targu zbudowano góralską kaplicę na lotnisku. Po uroczystościach kaplicę przerobiono na willę ówczesnego i sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR Włada Wójtowicza, żeby się drzewo nie zmarnowało. Willę wybudowano w Jordanowie. Obecnie W. Wójtowicz nie korzysta z willi, ponieważ przeszedł do MSZ i jest

W „Dzienniku Zachodnim” ukazało się ogłoszenie, zajmujące przeszło ćwierć strony: „Uwaga! odbiorcy płynnych artykułów mleczarskich z Miasta Wodzisław Śl. gmin Gorzyce, Lubomia, Godów, Msza-na. Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Belsznicy prosi o zwrot posiadanych opakowań szklanych po mleku i śmietanie. Dokonane zwroty umożliwią zwiększenie zaopatrzenia

## TO SIĘ NADAJE DO „SZPILEK” czyli donosy od czytelników

w pierwszym jak i w drugim przypadku koszty są znaczne, poza tym brakuje nowych rur. Proponujemy więc, aby każdy z mieszkańców kupił wiadro, następnie wszystkie wiadra włożyć jedno w drugie, wyjąć dna i w ten sposób powstanie prosty i ekonomiczny rurociąg. Gratulujemy sobie pomysłu.

**P**isza nam zrozpaczeni mieszkańcy Pragi z ul. Radzywińskiej, że MPO ustawiło tam kontener i urządziło w nim krematorium, w którym na razie jeszcze zwłok nie pali, lecz jakieś opakowania i odpady z pobliskiej szwalni. Tyle teraz na wysypiskach poniewiera się różnego dobra, że warto się zainteresować. A nuż puszcza się z dymem jakieś narodowe skarby?

Materiały nadesłali: K.R., E. BIELA, P. MARUSZEWSKA, Z. JALOWIECKI, „MIESZKANCY”.



Panie kierowniku!!!  
Dzięki tej nowej  
centrali uzyska-  
łem połączenie  
z samym sobą!



w mleko i śmietanę waszych punktów sprzedaży". Pod ogłoszeniem redakcja umieściła uwagę: Za treść ogłoszeń redakcja „Dziennika Zachodniego” nie odpowiada.

★ ★ ★

Telewizja poinformowała parokrotnie, że jeszcze w tym roku ukażą się na rynku widły produkcji krajowej. Pozwoli to na zmniejszenie o połowę importu. Wypada podkreślić, że nie mamy licencji na widły i że widły polskie będą produktem rodzimej myśli technicznej.

## Korespondencja

W pomieszczeniu unosi się zapach smażonej gumy i tworzywa sztucznego. Okazuje się, że nadmiernie nagrzewa się zwyczajny kontakt. Decyzja elektryka – trzeba wymienić. Ale: „Panie, wymienić to ja mogę, tylko skąd gniazdko?”

Ano najpierw trzeba pójść do magazyniera, spytać czy w ogóle ma jakieś gniazdko. Jeśli ma, to piśkę kartkę, że jest zapotrzebowanie na gniazdko i z tym idzie się do biurowca (200 m od siedziby magazyniera). W biurowcu wypisują kwit na wydanie gniazdko. Z nim trzeba iść z powrotem do magazyniera, który składa podpis. Teraz trzeba kwit odnieść z po-

wrotem do biurowca, zdobyć podpis księgowego, samemu się podpisać i nawrócić do magazyniera i pokazać podpis księgowego. Teraz odnieść kwit do biura. Z biura znów do magazyniera. Jesteśmy już blisko otrzymania upragnionego gniazdko. Magazynier idzie z nami do magazynu (150 m) i wydaje nam obiekt naszego pożądanego. Oczywiście do całej operacji po-

trzebna jest zgoda przynajmniej jednego z kierowników, żeby elektryk miał pokrycie w czasie na wykonanie pracy. Bo jak prosto można wyliczyć, pokonać on musi ok. 1360 m i dopiero wtedy jest gotowy do wykonania swojej właściwej pracy, a więc założenia gniazdko. Tak wygląda cała akcja, gdy wszystko jest w porządku tzn. gniazdko jest w magazynie. Jeśli nie,

to deleguje się jednego z pracowników do sklepu (6 km) by na rachunek nabył potrzebną liczbę gniazdek.

Zlituję się i nie będę opisywał, co musi zrobić hydraulik, aby wymienić kolanko pod zlewozmywakiem. Najczęściej mając w perspektywie bieganinę, wyjmując kolanko, a woda ścieka wprost na podłogę.

**RADOSŁAW ZIĘCINA**  
Warszawa





## REKONTRA

Z krytycznym przyjęciem spotkała się nowa inicjatywa sportowa nieśmiertelnego Studia-2, a mianowicie mrozące krew w żyłach wyścigi maluchów 126p na żużlu. Radio, prasa sportowa i jeszcze parę gazet schlaństwo bez pardonu to przedsięwzięcie i nazwało idiotycznym. Niesłusznie! Abstrahując od wartości sportowych wyścigi postrachów naszych szos czyli maluchów mogłyby ożywić reprezentacyjne stadiony włącznie ze słynnym warszawskim Stadionem Dziesięciolecia. Jednocześnie wyścigi maluchów o puszkę oleju Monte Carlo lub 10 litrów benzyny bez kolejki, podniosłyby kulturę jazdy, jako że sportowa walka usankcjonowałaby zajeżdżanie, wymuszanie, nieprawidłowe wyprzedzanie itp. Sport ten ze względu na masowe zaplecze (kierowcy niedzielnicy) miałby szansę ogromnego rozwoju i szybko wysunęlibyśmy się na pierwsze miejsce w światowej klasyfikacji stworzonej na polski wniosek nowej formuły 126p. Tym samym w prosty sposób okres odnowy zapisałby się złotymi zgłoskami w dziejach sportu samochodowego. Setki naszych kierowców osiągnęłoby własnym kosztem wysokie lokaty, a więc to, czego w poprzednim okresie nie udało się do-

konać jednemu, ale za to dobrze urodzonemu rajdowcowi, który nb. ścigał się na koszt nie tylko swego tatusia, ale i nas wszystkich.

Wyścigi maluchów na żużlu byłyby w dodatku dyscypliną na miarę naszych możliwości, to znaczy nie wymagającą większych kosztów. Jak to udowodniła przeprowadzona przez Studio-2 transmisja z pierwszych wyścigów, trybuny stadionu Włókniarza w Częstochowie były bowiem puściuteńkie. Można by więc oszczędzić spore kwoty na biletach (papier i druk!!!) oraz służbie porządkowej. Tym samym byłyby to również pierwsze na świecie wyścigi samocho-

jako dame de compagnie rajdowca nr 1 do Brazylii, aby tam wspólnie obserwować wyścigi i potem umiejętnie adaptować je na grunt polski. Miał to być – zdaniem tych panów – kolosalny biznes. Tor do wyścigów już mieliśmy, zbudowano go w Poznaniu (a propos, kłaniam się koledze Włodzimierzowi Scisłowskiemu o list z Poznania w sprawie tego pustośnianu) i po to, by wyjąć ciężkie tysiące dolarów należało „jeszcze trochę zainwestować w ten tor, aby uzyskać światowy atest i włożyć nieco wysiłku w zabezpieczenie gastronomiczne i hotelowe dla kilkudziesięciu tysięcy turystów, którzy przyjadą do Polski”. Cała sprawa

# WYŚCIGI MALUCHÓW

dowe całkowicie bezpieczne dla widzów. Wyskoczyłby taki flakik z toru, przekosiłkował po pustych trybunach i nikomu nic by się nie stało. Wysunęlibyśmy się zatem także na pierwsze miejsce w dziedzinie bezpieczeństwa widzów.

Wszystko to jednak furda wobec pewnego innego, rok temu jeszcze zupełnie realnego przedsięwzięcia, które nam groziło. Mógłbym w tym miejscu wyciągnąć stary, zdjęty z łamów „Szpilek” felieton i jak to ostatnio modne puścić go z dyskretnym zaznaczeniem daty napisania. Ale tego nie zrobię, jako że były tam nazwiska, które dziś nie mają znaczenia. Po co je przypominać? Wolę więc streścić o co mi wtedy chodziło. Dwóch redaktorów, entuzjastów sportu rajdowego w „Przeglądzie Sportowym” oraz „Interpresie” wystartowało z początkiem 1980 roku do wielkiej akcji na rzecz sprowadzenia do Polski wielkiego cyrku, czyli wyścigów Formuły 1. Jeden z nich ujawnił, że dzięki staraniom grupy dżentelmenów rozpoczęto starania o zorganizowanie jednej z eliminacji mistrzostw świata w wyścigach Formuły 1 w Polsce. Drugi kolega, znacznie bardziej wyrobiony w tych sprawach, nim zabrał głos, pojechał na koszt państwa

była już O.K. gdyż „specjalne opracowania przygotowują już odpowiednie resorty”. Był to zatem rok temu problem resortowy, bo oprócz emocji sportowych impreza dzięki przyjazdowi turystów, sprzedaży prawa transmisji oraz reklam, miała przynieść niebagatelne korzyści. Otóż nie wątpię w to ani na chwilę, rzecz tylko w tym komu miała ta impreza przynieść zyski, a komu straty? Kilku panów bowiem w legalny sposób zarobiłoby na tej imprezie sporo dolarów – akwizycja reklam, programy, zaproszenia w rewanżu itd. – ale per saldo poszlibyśmy z torbami. Musielibyśmy bowiem napróżd wybulić znacznie większą ilość zielonych z państwowej już kasy na sprowadzenie tego całego cyrku kierowców, mechaników, menażerów wraz z ich żonami i bambetłami, na czym zresztą umoczyło kieszeń kilku zręcznych organizatorów z zachodniej Europy. U nas zapłaciłaby ten rachunek Rzeczpospolita. Na szczęście ustrześliśmy się w porę przed tą zabawą. W związku z czym uprzejmie proszę nie błądzić na proponowane przez Studio-2 wyścigi maluchów!

TADEUSZ OLSZAŃSKI

WOJAKIEWICZ





# PRZYJEMNIE

**W** dzisiejszej Polsce nie jest przyjemnie być ministrem, milicjantem, wojewodą, cenzorem, naczelnikiem, instruktorem, dyrektorem, sekretarzem itd., oj, nieprzyjemnie. Za to być dziennikarzem – bardzo przyjemnie.

Niektórzy powiadają, że przedtem przyjemnie było być ministrem, dyrektorem, sekretarzem itd. – nawet milicjantem. Tych niektórych jest większość. Oni przesadzają oczywiście, ale powiedzmy, że było przyjemnie. Dziennikarzem jednak i przyjemnie było być przedtem i przyjemnie jest być teraz. Ten zawód jest w Polsce rozkoszą niezależnie od okoliczności.

Lizano się władzy dupę, a słodka ona była jak lody z „Hortexu”. Obecnie wszyscy kopią władzę w tę samą wylizaną rzyć, czyniąc to równie energicznie. Władza za to płaci, a publiczność ryczy z zachwytem. Dziennikarzom znowu jest więc dobrze, a nawet jeszcze lepiej. Dziennikarze dalej są funkcjonariuszami władzy ze wszystkimi tego atrybutami, zajęci są wszakże znęcaniem się nad maszyną, która ich zatrudnia. Są w obiegu dwa słowa: manipulowanie i ręczne sterowanie. Określa się nimi wszelkie kierowanie prasą, gdy czegoś takiego ośmiela się próbować jej całkowicie jawni firmanci, dysponenci i przełożeni. Propaganda funkcjonuje więc w stanie swojego rodzaju anarchii wewnętrznej.

Równocześnie dziennikarze dają sobą rzeczywiście manipulować jak dzieci, to znaczy, że napiszą każdą bzdurę, gdy tylko ktokolwiek ich podpuści przeciw byleju lub obecnej władzy. Uczynili to krakowska milicja robiąc konferencję na temat tzw. afery brylantowej. Fakty tak podano, że ewentualne szachrajstwa zrobione przez kogoś przy okazji państwowych, poufnych operacji gospodarczych przedstawione zostały w sposób sugerujący, iż samo prowadzenie przez państwo jubilerskich interesów było prywatną machlojką. I tak to poszło w świat.

Idealem byłoby, gdyby prasa wykorzystała wolność, która na nią spada z nieba od tego, by być mądrym przewodnikiem społeczeństwa, ułatwiającym Polakom stawianie się wolnymi obywatelami. Pomagała myśleć, wybierać (a więc i rezygnować). Uczyla np. współzależności zjawisk i odpowiedzialności za konsekwencje posunięć, za którymi się głosowało. Winna być także mądrym doradcą władz i wspierać ich rozumne poczynania. A także pośredniczyć między sferą pragmatycznego rządzenia, a sferą społecznego wyrażania opinii i pragnień. Wszystko to zresztą lepiej lub gorzej robi, jednakże w jej tonie dominuje ujadanie i judzenie. W treści przejawia się ono także.

„Dziennik Zachodni” słusznie się martwi, że wstrzymana została budowa kopalni odkrywkowej w Koninie, przez co nie uzyskamy dodatkowo 5 mln ton węgla, a istniejąca elektrownia będzie nadal w małym stopniu wykorzystana. Powodem wstrzymania jest brak mieszkań dla 26 właścicieli chałup i domków, które trzeba zburzyć, by kopalnię zbudować. Przesiedlenie tych ludzi to żaden wydatek w porównaniu do 7 miliardów złotych jakie kosztować ma kopalnia. Tekst jednak nosi tytuł *Znów nieudolność władz*. Stawia się pod pretekstem władze wojewódzkie i resortowe za podjęcie inwestycji bez uprzedniego rozwiązania takiego drobiazgu, jak te mieszkania. Bardzo słusznie. Jednakże to prasa właśnie żąda przecież równoległe, aby mieszkańcy otrzymywali tylko starzy członkowie spółdzielni według ustalonej kolejności. To ona też gromi administrację terenową za przeprowadzanie wywłaszczeń apodyktycznie i bez liczenia się z wolą prywatnych właścicieli. Teoretycznie

wszystkie te żądania można pogodzić, ale w praktyce prasa ponosi niemąłą winę za niemrawość czy paraliż wywłaszczeń.

Prasa domaga się wszelkich dobrych rzeczy, ale każdego dobra z osobna. Treść publikacji na różne tematy jakoś jej samej wzajemnie się nie kojarzy. Nie ma też poczucia odpowiedzialności za skutki swoich poczynañ. Jedne jej żądania niweczą zaś możliwość spełniania drugih. Wytworzyła ona bowiem nacisk społeczny na rzecz wysuwanych dezyderatów, które są ze sobą skłócone. Zależna dziś od opinii społecznej władza wszystkim wnioskom przytakuje i nie może wykonywać żadnego programu czyli czynić coś kosztem czegoś. Trudne do pogodzenia ze sobą lub niemożliwe do pogodzenia żądania społeczne wywoływane lub popierane przez dziennikarzy przynoszą bezruch władz, za który są one gromione także.

We Wrocławiu np. pisano jesienią: zdjąć wojewodę, bo zakłady pracy nie mają kartofli na zimę. Ten rozesał w panice do fabryk co miał, po czym słusznie mu się od tejże prasy dostało za to, że województwo zeżarło swoje sadzeniaki.

Warszawskie gazety w tych samych swoich wydaniach gromią administrację gospodarczą za to, że wbrew polityce państwa uruchamia ona jednak inwestycje. Jednocześnie „Życie Warszawy” i „Express Wieczorny” zaczęły nagle protegować budowę metra.

Tylko obłąkany może żądać w obecnej sytuacji budowy metra, gdyż to przecież przedsięwzięcie niezwykle kosztowne. Otóż gazety zarazem informują, że nie ma już grosza na nic, kryzys zupełny, jesteśmy na dnie i jednocześnie tworzą w Polsce Arkadię i na wszystkie strony rzucają forsy ile wlezie – wszystko to oczywiście tylko w słowach. „To, że skup mleka jest mały nie obchodzi warszawskich niemowląt” – napisał „Express Wieczorny” żądając dostatku mleka w proszku. W ten właśnie sposób prasa rządzi sobie duszami i państwem zarazem w sposób nie skrupowany realiami, swobodnie i infantylnie.

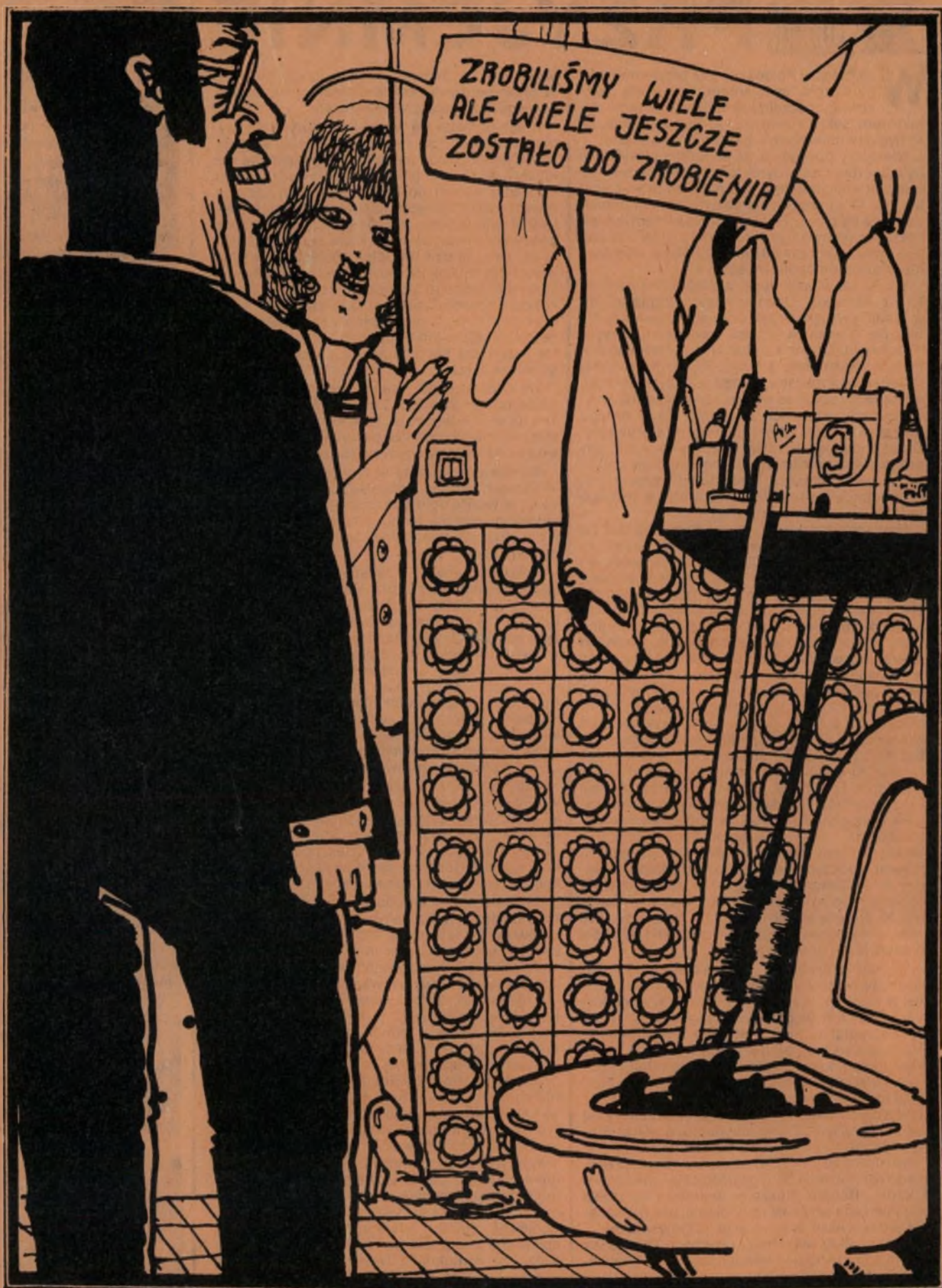
Naprawdę więc przyjemnie dziś pracować w prasie: ani nie trzeba myśleć, ani liczyć, ani kojarzyć coś z czymś. Rozrzuca się dowolnie miliardy i przygany, mechanicznie i już wręcz obsesyjnie kopiąc władzę w tyłek, co nie stwarza dobrych emocjonalnie podstaw dla partnerstwa między rządzącymi i ponagającymi.

Zarazem nie można powiedzieć urzędnikom, instytucjom, ani rządzącym wyższego szczebla: umówmy się, że prasa oszalała i przestańmy zwracać uwagę na to, co ona wykrzykuje. Środki masowego przekazu kształtują bowiem opinie społeczną i nastroje, a w warunkach demokracji nie można już rządzić przeciw społeczeństwu, lub nie zwracając uwagi na jego żądania, wnioski i dążenia. Obranie jednak jakiegoś spójnego, pragmatycznego, skutecznego wariantu polityki gospodarczo-społecznej, wymaga zwrócenia się przeciwko licznym dezyderatom i pragnieniom, które prasa wywołuje lub wyraża. Rodzi to pokusę narzucania programu środkami niedemokratycznymi. Prowadzi do wniosku, że albo demokracja, albo skuteczność.

Wypływa z tego wniosek, że demokracja jest niemożliwa bez odpowiedzialnej, rozumniejszej, mniej zanarchizowanej prasy. Dramat polega na tym, że owa prasa nie wie, iż demokrację burzy, ponieważ tworzy irracjonalne, wewnętrznie sprzeczne społeczne podstawy rządzenia. Ona sądzi, że demokrację tworzy, buduje, wciela, wyraża, popycha, że stała się jej emanacją superdoskonałą.

Redaguje zespół: ALICJA BOBROWSKA (red. tech.), JULIAN BOHDANOWICZ (kier. graf.), MARIA CZUBASZEK, FELIKS DERECKI, WITOLD FILLER (red. naczelny), MAREK GRONSKI, WOJCIECH GRZYMAŁA (red. graf.), JERZY KLEJNY (z-ca red. naczelny), KRYSZYNA KNAPIK (sekr. red.), JAKUB KOPEĆ, ADAM KRECZMAR, ANNA LECHICKA, ANTONI MARIANOWICZ, ANDRZEJ NOWICKI, TADEUSZ OLSZANSKI, JANUSZ OSEKA, JAN PIETRZAK, ANATOL POTEMKOWSKI, JOANNA WILINSKA, JERZY WITLIŃSKI, ZOFIA WOJNAR, EWA ZADRZYŃSKA. Adres redakcji: Plac Trzech Krzyży nr 16a, 00-499 Warszawa. Adres pocztowy: skrytka nr 1058, 00-950 Warszawa. Tel. 28-94-51. Redaktor naczelny: 28-04-29. Wydaje: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Noakowskiego nr 14, 00-666 Warszawa, tel. 25-72-91. Biuro Ogłoszeń, tel. 25-56-26. Przedruk bez podania źródła wzbroniony. Rekopisów nie zamawiają redakcja nie zwraca. Skład tekstów technika „LINOTRON 505 TC”, montaż i druk: Zakłady Wklesłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Okopowa 58/72, 01-042 Warszawa. Informacji o warunkach prenumeraty krajowej udzielają Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej – zł 364. Sprzedaż egzemplarzy zdezaktualizowanych na uprzednie zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa.

Nr indeksu 37686  
Nr zamknięto 13.V.81  
Nr zamówienia 754  
L-102.



ANDRZEJ MLECZKO